ECHA LEŚNE



CZASOPISMO ILUSTROWANE

№ 3 Marzec 1932 r. ROK IX.

Cena 1 zł. gr. 40

ECHA LEŚNE

CZASOPISMO ILUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA W WARSZAWIE, NOWY ŚWIAT 36 — 8. TELEFON 230-75

Rok IX | Warszawa, Marzec 1932 r. | Nr. 3



CHRYSTUS Mal. A. van Dyck

ORGANIZACJA PROPAGANDY LEŚNEJ

W artykule styczniowym Ech Leśnych, „Współczesne zadania leśnika", ogólnie stwierdziliśmy potrzebę podjęcia przez leśników szerszej, planowej akcji propagandowej ochrony lasów i leśnictwa, wychodząc z założenia, że rozliczne korzyści, płynące zarówno dla właściciela lasu, jak i dla kraju z tytułu racjonalnej gospodarki leśnej i ochrony lasów, najlepiej może oświetlić leśnik.

Zaznaczyliśmy przytem, że należycie zorganizowana propaganda leśna wśród poszczególnych sfer naszego społeczeństwa o potrzebach leśnictwa i znaczeniu lasów, w ogólnej gospodarce kraju znakomicie przyczynić się może do poprawy i stabilizacji nieuregulowanych stosunków leśnych w kraju, a tem samem do zrealizowania kardynalnego postulatu zawodowych sfer leśnych — *leśnik i leśnictwo dla lasu!*

Pod adresem organizacyj leśnych, niestety, podkreśliliśmy zarzut, że nie rozwijają one dostatecznie akcji propagandowej poza obrębem swych organizacyj. Organizacje te ograniczają się do akcji kulturalno - oświatowej wśród swych członków, a pracę społeczną na rzecz lasów (nie leśnictwa) pozostawiają przyrodnikom i miłośnikom lasu, którzy traktują las raczej jako źródło niewyczerpanych natchnień i odrodzenia fizycznego, lub jako sanktuarjum dla badań przyrodniczych, aniżeli jako ekonomicznie pracujący warsztat produkcji dla zaspokojenia najpilniejszych trwałych potrzeb obywatela, wzgl. kraju. Społeczna praca przyrodników i miłośników lasu niewątpliwie jest bardzo cenna i pożądana. Zdąża ona bowiem pośrednio do ochrony naturalnych bogactw kraju i zachowania ich piękna. Równolegle jednak rozwijać się winna społeczna praca *leśników*, która zdążać znów będzie do racjonalnego i trwałego zagospodarowania tych bogactw.

Praca społeczna leśników powinna przedewszystkiem ogniskować się w organizacjach zawodowych i stamtąd promieniować w obranych zgóry kierunkach. Organizacja zawodowa leśników bowiem jednoczy jednostki o wysokim poziomie społecznym, organizacyjnym, jak również i o rozległej wiedzy z zakresu różnych specjalności leśnych. Wspólny wysiłek tych jednostek prędzej będzie uwieńczony pomyślnemi wynikami, aniżeli wysiłek samodzielnie występującej jednostki, o najlepszych zamiarach i zaletach. Jednostki te, tworząc stały, dyscyplinowany organ zawodowej organizacji, kierując się w myśl wypracowanego szczegółowo programu, niewątpliwie mogą na poszczególnych odcinkach pracy społecznej dla dobra lasów i leśnictwa, poważnie się przyczynić do pomnożenia dorobku kulturalnego i materjalnego kraju i jego obywateli. Ich praca będzie mieć charakter wybitnie pionierski, bowiem nowoczesne pojęcie o różnorodnych produkcjach lasu jest obce nieraz dla wielu bardzo obywateli kraju i tem więcej zasługuje na poszanowanie i poparcie.

Terenem pracy społecznej leśnika mogą być: a) szkolnictwo każdego rodzaju i stopnia, poczynając od szkolnictwa powszechnego, b) prywatna własność leśna — gospodarstwa leśne bez względu na obszar i charakter własności, c) organizacje samorządowe, rolnicze, sportowe, krajoznawcze, etc.; d) wojskowość.

W zależności od terenu pracy społecznej, kształtować się będą metody i środki propagandy leśnej, które szczegółowo byłyby opracowane przez ten organ i realizowane przez jego członków. Nawiązanie przeto stałego kontaktu z reprezentacjami wyżej wymienionych instytucyj, ugrupowań różnorodnych interesów, oraz porozumienie sie co do formy i sposobu rozwijania na ich terenie akcji społeczno-leśnej, powinno być pierwszym organizacyjnym krokiem. Jako „przedplon" tego kroku należałoby rozwinąć żywą akcję propagandowo - prasową i wydawniczą, obrazującą w sposób przystępny i jaskrawy „fakty leśne", t. zn. potrzeby leśnictwa i lasów w kraju, oraz skutki zaniedbań i opieszałości w tej tak ważnej gałęzi gospodarstwa narodowego. Należałoby przytem przeciwstawiać stan leśnictwa i lasów innych krajów, wyżej kulturalnie pod tym względem od nas stojących.

Akcja popularyzacyjna tego rodzaju o jaknajszerszej skali pomysłowości, dostarczy dużo środków do tem więcej skutecznego rozwiązania właściwej akcji propagandowej na podanych terenach. Będzie to raczej akcja informacyjno-leśna, bardzo pokrewna propagandowej.

Wydawnictwa informacyjno-leśne mają niezmiernie ważne znaczenie w akcji propagandowej, ponieważ po pierwsze docierają wszędzie, po drugie torują drogę leśnikowi — emisarjuszowi kultury i wiedzy o lesie.

Celem pracy społecznej i zawodowej leśnika jest bowiem podniesienie poziomu techniki gospodarki leśnej; ochrona lasu w najszerszem pojęciu oraz uczynienie z niego produkcyjnego i opłacalnego warsztatu kultury krajowej.

Społeczeństwo reaguje na obywatelską działalność leśnika, zwłaszcza kiedy tworzą się w jego łonie stowarzyszenia, mające na celu ochronę lasu dla jego zabytków, osobliwości (Liga ochrony przyrody), lub specjalnych celów np. stowarzyszenie łowieckie, etc., stowarzyszenia popierania lub obrony interesów producentów drewna (właściciele lasów) i popierania leśnictwa (tow. leśne). Udział leśników chętnie jest tam widziany.

Klasycznym przykładem uznania wysoce pożytecznej pracy leśnika dla dobra kraju i interesów właściciela lasu jest Polskie Towarzystwo Leśne, jednoczące leśników i bardziej postępowych właścicieli lasów. Życzyć tylko trzeba, aby organizacja ta skupiła jaknajwięcej właścicieli lasów, a obecność i praca społeczna leśników w tej organizacji nie pozostanie bez wpływu na światopogląd leśny właścicieli lasów.

Zadania leśników na terenie mieszanej organizacji, w szczególności tow. leśnego, niewątpliwie są łatwiejsze w zakresie popierania postępów w gospodarstwie leśnem i ewentualnego rozszerzenia obszaru leśnego kraju, niż na terenie zawodowej organizacji. Praca ich jest bardziej wdzięczna, i dlatego powinna być intensywniejsza, aby wyniki jej stały się prędzej wzorem, godnym naśladowania, a tem samem byłyby zachętą dla niezorganizowanych właścicieli do wstępowania w szeregi tej organizacji.

Drugą zkolei organizacją w kraju, powołaną do służenia lasom, której istnienie musi być niezaprzeczone z uwagi na czystość kultu dla lasów i leśnictwa i obrony ich interesów, jest Związek Zawodowy Leśników. Obie te organizacje w zakresie propagandy interesów lasu i leśnictwa uzupełniają się i powinny pozo-

stawać w imię wspólnych interesów, w stałym kontakcie współpracy, zwłaszcza o ile chodzi o ujednostajnienie metod i środków propagandy, względnie prowadzenie akcji wydawniczej.

Istnienie tych organizacyj z punktu widzenia rozwoju leśnictwa i pomyślnego stanu gospodarczego naszych lasów jest ze wszech miar pożądane i nie powinno wykluczać istnienia innych organizacyj, które w ewolucyjnym rozwoju będą upodabniały się zwłaszcza do towarzystw leśnych, zatracając dotychczasowy charakter kastowy. Nie mogą one również wykluczać powstawania nowych towarzystw o charakterze bardzo zbliżonym do obecnego towarzystwa leśnego, a zawiązywanych z inicjatywy leśników, lub miłośników lasu, które będą miały na celu ochronę lasu dla tych lub innych celów. Skończonym wzorem tego typu towarzystwa jest towarzystwo amerykańskie (American Forestry Association), oraz amer. kluby leśne młodzieży. Obowiązkiem leśników jest dawać tu inicjatywę do powstawania takich stowarzyszeń i brać w nich przewodni, czynny udział.

Przechodząc zkolei do propagandowej działalności państwowej i samorządowej dla dobra lasu i leśnictwa, zaznaczyć należy, że jest ona wynikiem poniekąd propagandy leśnej organizacyj społecznych. Samorząd i państwo w interesie własnym, idąc za myślą przewodnią akcji propagandowo-społecznej, starać się winny podtrzymywać i rozwinąć tę akcję, popierając w najrozmaitszej formie ochronę lasu i produkcję leśną.

Jeżeli chodzi o popieranie leśnictwa i lasu, to u nas przejawiało ono się w bardzo szczupłych rozmiarach, i ograniczało się dotąd do udzielania subwencyi i pomocy przy zalesianiu nieużytków (piasków lotnych) i popierania prasy leśnej: wydawnictwa propagandowe leśne, państwowe lub samorządowe instytucje prawie nie egzystują. Nieznane są również prywatnej własności leśnej jakiekolwiek zapomogi, czy pomoce, poza administr. kontrolą gospodarki leśnej. W planie polityki leśnej te jednak pomoce ze strony państwa i samorządu powinny znaleźć zastosowanie narówni z rozwinięciem szerokiej propagandy leśnej. W krajach zwłaszcza anglosaskich, gdzie leśnictwo jest młode, polityka leśna ma wyraźnie sprecyzowany program pomocy państwowych i samorządowych dla leśnictwa i produkcji leśnej, służba leśna bowiem jest tam pod innym kątem rozpatrywana. — Państwo dla obywatela, obywatel dla państwa, a nie odwrotnie, wychodząc z założenia, że dobrobyt obywatela jest dobrobytem kraju i potęgą państwa.



Las w zimowem słońcu

Reasumując uwagi na temat akcji propagandowej, dochodzimy do wniosku, że w akcji tej, zarówno państwo, samorząd, jak i organizacje społeczne winny wziąć szerszy udział, a największe zadania będą miały organizacje społeczne, bowiem dzięki ich pracy tworzy się właściwa polityka leśna czynników rządzących w kraju.

Niezbędne na te cele fundusze muszą się znaleść, ofiarność obywatelska członków organizacyj leśnych i dotacje publiczne powinny przejawiać się stale, bez względu na kryzys ekonomiczny w kraju, bowiem leśnictwo i las są dziedziną, najbardziej wymagającą dalekowzrocznej polityki i planowości, a każdy grosz wydany na te cele jest cegiełką pod gmach kultury kraju. *Inż. B. Nowacki.*

Z PRÓB WZMACNIANIA LOTNYCH PIASKÓW

W Starosielskiem leśnictwie, Ordynacji Dawidgródeckiej, przy drodze, łączącej siedzibę leśniczego w ur. Lutycze ze wsią Drozdyniem, w oddziale 166 starosielskiego obrębu, podjęto próbę zalesienia sosną wydmy piaszczystej, mającej kształt znacznego wzgórza. Przy zastosowaniu pasów darniny, wzięto ją z wrzosowiska w ten sposób, iż późną jesienią 1930 r. w drugiej połowie października, wycięto bryły darniny w lesie i ułożono je w pasy o szerokości 30 cm. wzdłuż wydmy, w rowki na odległości między pasami 1½ metra, a w międzypasach wysadzono jednoletnie sosnowe sadzonki w trzy rzędy, na odległości ⅓ mtr. jeden od drugiego i w rzędach na 60 ctm. między sadzonkami.

Przy zlustrowaniu tej uprawy leśnej dnia 2 lipca r. b., ustalono zdrowy wygląd sadzonek i znikome szkody od pędraków. Darnina z wrzosem, z bardzo małym wyjątkiem, uschła, bo bryłki nie były dostatecznie zagłębione, a niektóre leżały na powierzchni wydmy.

Widać z tego, że przyniosły one korzyść, jako przeszkoda przeciwko piaskom ruchomym, zasypującym sadzonki i jako środek do zatrzymywania na dłuższy czas i w większej ilości śniegu na wydmie. Wreszcie próchnica z darniny, przepłókana deszczową i śniegową wodą, polepszyła piaszczystą glebę. Przytem pasy, ciągnące się z O na W, osłaniają sadzonki od operacji słonecznej w południe.

Brak strat od pędraków nasunął myśl, że pędraki skupiły się pod darniną i mają tam żer, bo miałem doświadczenie, że w puszczy Różańskiej, okręgu białowieskiego, pod dariną wrzosu zbierała się większa ilość pędraków. W danym wszakże wypadku, przy podjęciu darniny nie ukazał się ani jeden pędrak. Widocznie na wydmie było ich bardzo mało. Przy powtórzeniu podobnej próby należałoby ułożyć darninę z większą starannością, bo chodzi o to, żeby wrzos na wydmie zakorzenił się i pokrył ją całą, ponieważ sąsiedztwo wrzosu sośnie nie szkodzi. Przeciwnie, w lasach ordynacji, pełnych wrzosu, następuje zawsze dobre zalesienie sosnowemi młodnikami, byle tylko nie dopuszczało się tam pasania bydła.

W. Czarnecki

NAJSKUTECZNIEJSZA METODA ZWALCZANIA SZELINIAKA SOSNOWCA

Leśnicy, pracujący w czystych borach sosnowych, lub mieszanych, sosnowo-świerkowych, mogą nieraz na podstawie gorzkiego doświadczenia nazwać swoją pracę nad zalesianiem zrębów syzyfowym trudem.

Bywa to wówczas, gdy w lasach rozmnoży się największy wróg upraw iglastych — szeliniak sosnowiec (hylobius abietis).

Wypróbowano już różne sposoby walki z tym szkodnikiem. Sposoby te można podzielić na zapobiegawcze i na bezpośrednio zwalczające, t. j. niszczące szkodnika. Zapobiegawczym sposobem ochraniania upraw od szeliniaka jest otaczanie upraw iglastych ciągłym, nieprzerwanym rowkiem izolacyjnym. Taka metoda ochrony upraw powstała wskutek mniemania, że szeliniak nie lata wcale, względnie, że lata bardzo mało i niechętnie, więc dla owadów wędrujących pieszo z młodników na świeżo zalesione zręby rowek o prostopadłych ściankach będzie dostateczną przeszkodą. Tymczasem kultury otoczone rowkiem bywają niszczone przez szeliniaka narówni z nieokopanemi, jeśli nie w pierwszym roku po wykonaniu zalesienia, to w następnym. Powstaje to stąd, że szeliniaki swobodnie przedostają się na zręby na skrzydłach, przyczem samiczki składają jajeczka pod korą pniaków i korzeni pozostałych po zimowej eksploatacji, poczem larwy cały rok przebywają na korzeniach, a w przyszłym roku na wiosnę występuje szeliniak już w postaci owadu doskonałego i niszczy kultury.

Z tego wynika, że i drugi środek zapobiegawczy, korowanie pniaków, mało przyczynia się do usunięcia przyczyny zła, gdyż korzeni okorować nie można, a one to są głównym objektem żerowania larw szeliniaka. Nawet karczowanie zrębów nie zapobiega złu, gdyż przy karczunku większość korzeni pozostaje w ziemi.

Leśnik, widząc, że środki zapobiegawcze zawiodły, poczyna prowadzić walkę z szeliniakiem bezpośrednią, mającą na celu zniszczenie jaknajwiększej ilości szkodników. Najpowszechniej stosowana jest metoda pułapek w postaci rozłożonych na zrębie płatów świeżej kory, lub świeżych okrąglaków, albo szczap, oskrobanych do miazgi.

Powyższy sposób daje nieraz bardzo pokaźne wyniki, wyrażające się w dużej ilości zebranych owadów (nieraz nawet kilkaset litrów na powierzchni nadleśnictwa), a tymczasem ten tryumf zatruwa leśnikowi smutne spostrzeżenie, że kultury giną, i że trzeba na przyszły rok wykonywać w nich ogromne i kosztowne poprawki.

I tak może być z roku na rok. Można zbierać za pomocą pułapek fenomenalne ilości szeliniaków i można stwierdzać coraz większe szkody wyrządzane przez nie w kulturach.

Przyczyna niepowodzenia zwalczania szeliniaka za pomocą pułapek kryje się w tem, że szeliniak chętniej żeruje na sadzonkach, niż na pułapkowych okrąglakach, czy szczapach, więc uprzednio niszczy kultury, a potem dopiero bywa zbierany z pułapkowego drewna. Pozatem zazwyczaj pułapki bywają rozkładane dopiero latem, rzekomo także z tych względów, że szeliniaki chętnie chronią się pod niemi przed słońcem, a tymczasem kultury są uszkadzane już na wiosnę w czasie najintensywniejszego żerowania szkodników.

Co najważniejsze, szeliniaki za pomocą pułapek są chwytane już zapóźno, bo po wiosennym okresie godowym i po złożeniu jajeczek przez samiczki, wobec czego przyszłe pokolenie ma byt zapewniony i w następnym roku znów wystąpi masowo.

Nic dziwnego, że w takich warunkach śmiało można nazwać odnawianie lasu gatunkami iglastemi, przy walce z szeliniakiem, syzyfową pracą.

Jak wynika z powyższych niewesołych refleksyj, jedynie celową metodą walki z szeliniakiem może być taka, która godzi w samo istnienie szeliniaka u podstaw jego rozwoju biologicznego, czyli innemi słowy, która zapobiega rozmnażaniu się szkodnika.

Metodę taką opracował na podstawie długoletnich badań biologji szeliniaka i wprowadził w życie ze znakomitemi wynikami p. Stanisław Noyszewski, inspektor lasów państwowych dyrekcji siedleckiej.

P. Noyszewski zaobserwował, napozór zdawałoby się drobny i podrzędny, a jednakże dla ochrony lasu niesłychanie ważny szczegół z życia szeliniaka, szczegół, dotychczas nigdzie nie notowany w literaturze leśnej.

Mianowicie stwierdzone zostało, że kopulacja szeliniaków odbywa się nie na odsłoniętej powierzchni ziemi, lub w trawie, czy też pod odpadkami drewna na zrębie, lecz tylko we wszelkich dołkach i jamkach, istniejących na zrębach i powstałych bądź naturalnie, bądź sztucznie wykopanych przez człowieka.

Na zrębach czystych po drzewostanach iglastych szeliniaki pojawiają się wczesną wiosną zaraz po zejściu śniegu i rozmarznięciu gleby i odrazu rozpoczynają rujkę. Okazują one wtedy znaczną ruchliwość i latając, szukają odpowiednich zagłębień gruntu, jako swoich miejsc godowych. Jak z tego widać wszelkie istniejące na zrębach doły, np. po karczunku pniaków, jeżeli zaniedbano ich zarównanie, okazują się miejscami rozpłodu szeliniaka. Tak samo, niestety, służą do rozmnażania się szeliniaka, miast mu szkodzić i ochraniać kultury, rowki izolacyjne. Z dołów o ukośnych ścianach szeliniak po akcie kopulacji wydostaje się z łatwością pieszo; z rowków izolacyjnych, które mają ściany prostopadłe, tak wyjść nie może, ale wystarcza mu najwyżej 1 m. przestrzeni w jed-

nym kierunku dla nabrania rozpędu, by mógł wylecieć na skrzydłach.

Zasadą metody p. Noyszewskiego jest: 1-o zarównanie na zrębach wszelkich dołków i jamek, służących jako naturalne miejsca rozpłodu szeliniaka, 2-o stworzenie dla niego sztucznych, ręką ludzką zrobionych otworów w ziemi, lecz tylko takich, z których nie może się on wydostać.

Wychodząc z tego założenia, p. Noyszewski stworzył *system krótkich, wąskich, głębokich i rozrzuconych rowków pułapkowych na szeliniaka.*

Techniczne wykonanie tej metody jest następujące: — wczesną wiosną, jednocześnie z przystąpieniem do przygotowania gleby pod uprawy, zakłada się na świeżych zrębach w borach sosnowych i świerkowych, oraz w uprawach iglastych z 2-ch poprzednich lat, rowki o wymiarach: długość od 0,5 m. do 1 m., szerokość 10 cm. (nie więcej), głębokość 60 cm. (nie płyciej). Rowków takich narazie zakłada się po 5 na 1 ha i poddaje się je codziennej obserwacji. Jeżeli w poszczególnych rowkach okaże się ponad 100 szeliniaków, zwiększa się ich ilość do 20 na 1 ha. Powyższa ilość rowków nawet przy bardzo licznem wystąpieniu szeliniaka jest dostateczną.

Zasadniczym warunkiem tej metody jest należyte wykopanie rowków, a więc ich przepisowa wąskość, głębokość i prostopadłość ścian, oraz, co najważniejsze, wczesne ich założenie.

Wybieranie owadów z rowków jest zbyteczne, chyba dla celów statystycznych. Koniecznem bywa wybieranie tylko wtedy, gdy w rowku okaże się tak wielka ilość szeliniaków, że będą one mogły wylatywać. Gdy rowki takie były już kopane w poprzednich latach, nowe kopie się obok starych, zasypując starannie te ostatnie.

Zasadnicza skuteczność omawianej metody walki z szeliniakiem polega na tem, że nietylko niszczy się szkodnika wcześnie przed rozpoczęciem żerowania, ale niszczy się także samiczki przed złożeniem przez nie jajeczek, dzięki czemu po kilku latach stosowania tej metody można zupełnie oczyścić las z szeliniaka.

Metodę swoją p. Noyszewski wprowadził w życie od dziesięciu z górą lat na terenie Puszczy Kurpiowskiej, i w niektórych nadleśnictwach osiągnął wprost nadzwyczajne rezultaty. Zanotowane zostały liczne fakty, że znajdowano poszczególne rowki do połowy napełnione szeliniakami. W szeregu nadleśnictw szeliniak przestał być plagą kultur, a tam gdzie jeszcze masowo występuje, przyczyna zła tkwi w sąsiedztwie lasów prywatnych, które nie stosują żadnych środków walki ze szkodnikiem.

Ze względu na doskonałe rezultaty tej metody w nadleśnictwach kurpiowskich została ona wprowadzona w życie w roku 1931 na terenie wszystkich (45) nadleśnictw dyrekcji siedleckiej i wszędzie okazała się praktyczną i znalazła uznanie fachowego personelu leśnego. Jedynie tam, gdzie rowki założono zbyt późno, już po skończonej rujce szeliniaka, nie stwierdzono dodatnich rezultatów.

Ze statystyki wyników stosowania omawianej metody w 45-ciu nadleśnictwach można podać następujące dane przeciętne: przy założeniu przeciętnie po 15 rowków na 1 ha znajdowano normalnie w rowkach od 50 do 150 szeliniaków; 10% nadleśnictw wykazuje wyższe liczby, do 200; 10% — do 500, a w kilku nadleśnictwach, gdzie szeliniak wystąpił masowo, znajdowano w 1 rowku do 1000 sztuk, zaś 1 nadleśnictwo wykazało minimum w 1 rowku 1000 sztuk, a górną liczbę w litrach. (W litrze mieści się około 4500 sztuk szeliniaków).

3 nadleśnictwa, które zadały sobie trud wybierania i mierzenia schwytanych owadów, podały, jako rezultat walki z szeliniakiem na całej swojej powierzchni, następujące liczby: 93 litry, 174 litry i 750 klg. (plus - minus 1000 litrów). Powyższe cyfry dostatecznie ilustrują skuteczność tej metody.

Praktyczną stroną omawianego sposobu zwalczania szeliniaka prócz jego skuteczności jest bardzo mały koszt zakładania rowków. Wykopanie 1-go rowka przy obecnych cenach robocizny kosztuje 5 — 6 groszy. Potrzeba jedynie zaopatrzyć się w odpowiednie długie a wąskie szpadle z dobrej stali. Codzienna obserwacja rowków stanowi czynność straży leśnej.

W porównaniu z kosztami, wykładanemi na rowki izolacyjne, oraz na rozkładanie drewna pułapkowego i zbieranie z niego owadów, wydatki na rowki pułapkowe są poprostu groszowe.

Rowki nie potrzebują żadnej konserwacji i poprawiania, gdyż spełniają swoją rolę przez krótki okres czasu, więc już pod koniec wiosny obojętne jest, że ulegają działaniu wód deszczowych i innych czynników, powodujących ich zasypywanie. Pod koniec lata w pulchnej ziemi pozostają po nich tylko zagłębienia, które należy na przyszłą wiosnę zarównać.

Sceptycy zapewne postawią tej metodzie zarzut, że w rowki mogą wpadać stworzenia pożyteczne, np. z owadów — szczypiec, a ze świata zwierzęcego jeże, jaszczurki, padalce i t. p. W miarę możności przy kontrolowaniu rowków należy te stworzenia ratować, lecz jeśli nawet w rowkach zginie jakaś nieznaczna ilość stworzeń pożytecznych, które wpadną



tam tylko przypadkowo, to nie zmniejsza znaczenia rowków, w które szeliniaki wpadają nie z przypadku, lecz wiedzione instynktem rozrodczym.

Nietylko szeliniak sosnowiec (hylobius abietis) zostaje niszczony za pomocą wyżej opisanych rowków. W identyczny sposób wpada w nie bliski jego krewniak i narówni z nim groźny dla upraw sosnowych — komośnik sosnowy, zwany także szeliniakiem siwym (cleonus turbatus).

Literatura leśna o komośniku sosnowym naogół mało mówi. Stwierdza, że posiada on cechy biologiczne podobne do szeliniaka i tylko podejrzewa go, że jest również szkodliwy dla upraw iglastych.

Zdaniem p. Noyszewskiego komośnik sosnowy jest biologicznie zupełnie zbliżony do szeliniaka, z którym wespół występuje i wyrządza w uprawach takież same szkody. Następnie sposób rozmnażania się komośnika jest identyczny z wyżej opisanym sposobem rozmnażania się szeliniaka; tak samo lata on wczesną wiosną i szuka dołków dla wykonania aktu zapłodnienia; identycznie też, jak szeliniak, wpada do rowków pułapkowych

Komośnikowi sosnowemu zapewne nie przypisywano poważniejszego i groźnego znaczenia dla lasu, gdyż nie obserwowano go nigdy w zbyt wielkich ilościach. Niestety, występuje on w znacznie pokaźniejszych ilościach, niż się ogólnie przypuszcza.

Statystyka badań zawartości rowków w 45 nadleśnictwach wykazała:

w nadleśnictwach	szeliniaka	komośnika
2	100%	
3	99%	1%
6	95%	5%
9	90%	10%
20	80%	20%
2	70%	30%
2	60%	40%
1	40%	60%

Biorąc pod uwagę, że wysoki procent ilościowy komośnika miał miejsce w lasach, gdzie powyższe szkodniki nie wystąpiły masowo, można traktować te fakty, jako wyjątkowe, jednakże jako najniższy stosunek ilości komośnika do szeliniaka trzeba przyjąć 15%.

O tem, że komośnik sosonowy jest szkodliwy narówni z szeliniakiem, autor tego artykułu wie z własnego doświadczenia, gdyż pracował szereg lat w lasach, gdzie oba powyższe gatunki występowały masowo, przyczem stosunek komośnika do szeliniaka wyrażał się w 40%. Nieraz zdarzało się przyłapać komośnika na gorącym uczynku, żerującego na sadzonce sosnowej, a z drewna pułapkowego komośniki były zbierane masami razem z szeliniakami.

Metoda p. Noyszewskiego zwalczania szeliniaka i komośnika sosnowego za pomocą rowków rozrzuconych jest najracjonalniejszą z istniejących, gdyż przeciwdziała złu w samą porę i usuwa jego przyczynę, a nie skutek. Jest pozatem najłatwiejszym i najtańszym sposobem ochrony upraw iglastych przed szeliniakiem i komośnikiem.

Należy się spodziewać, że leśnicy, prowadzący dotychczas bezskuteczną i beznadziejną walkę z szeliniakiem, po zaznajomieniu się z tą metodą, znajdą w niej jedyny środek na zabezpieczenie upraw iglastych przed plagą szeliniaków i komośników.

Ludwik Andrzejowski

Z KOMISJI NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU ZAW. LEŚN.

W związku z opracowywaniem przez Komisję Naukową Z. Z. Leśn. na podstawie opinji członków Rady Naukowej poprawek do ustawy o zagospodarowaniu lasów, nie stanowiących własności Państwa i ustawy o wykonywaniu zawodu leśnego, redakcja Ech Leśnych otrzymała następujące informacje:

Projekt poprawek do ustawy o zagospodarowaniu lasów jest już wykończony i przekazany został do aprobaty Prezydjum Zarz. Głównego.

W rzeczonym projekcie uwzględnione zostały najdalej idące tezy, wysunięte przez członka Rady — Koła polityki leśnej p. Dr. inż. Ewarda Chodzickiego, dotyczące a) zagospodarowania i zarządu lasów w okolicy miast, liczących ponad 100 tys. ludności; b) lasów położonych w okolicy uzdrowisk; c) mających specjalne znaczenie dla turystyki. Minister Rolnictwa, na wniosek zainteresowanych instytucyj, może wydawać przepisy, dotyczące tego rodzaju lasów.

Wysunięta teza, co do utworzenia funduszu popierania produkcji leśnej, podobnie, jak w przemyśle np. naftowym, w drodze założenia syndykatu producentów nieuszlachetnionego surowca drzewnego, została przyjęta nieco w zmienionej formie, tak, że kwoty, uzyskiwane z tytułu kar nakładanych z mocy ustawy przelewane są na fundusz popierania produkcji leśnej.

Słuszna teza co do odrębnego ustawowo traktowania lasów publicznych (prócz państw.) i prywatnych (ustawa dla lasów prywatnych i ustawa dla lasów publicznych — samorządowych, fundacyjnych, etc.), wobec konieczności przedłożenia jaknajrychlej projektu poprawek czynnikom rządowym, nie mogła być zrealizowana i została zmieniona w ten sposób, że lasy publiczne i prywatne projektuje się zagospodarować według osobnych instrukcyj urządzenia lasów.

Tezy do ustawy o wykonywaniu zawodu leśnego, opracowne wspólnie przez pp. Dr. inż. E. Chodzickiego, Dr. inż. J. Grochowskiego, Dr. inż. W. Niedziałkowskiego, inż. Wł. Barańskiego i inż. St. Ihnatowicza, szczególnie powołania Izby leśników, jako instytucji nadzorczej na wzór Izby adwokackiej, lekarskiej, i 5-letni okres praktyki przygotowawczej zostały przyjęte. Za Izbą leśników i 5-letnią praktyką wypowiedziała się bezwzględna większość członków Rady Naukowej.

DO LEŚNIKÓW POLSKICH

Trudy naszej pracy nie pozwalają nam zatrzymywać się dłużej myślą nad znamiennemi nieraz przejawami życia bieżącego. Są jednakże wydarzenia i postacie, które wybijają się ponad zwykły poziom szarej codzienności i wtedy pozostawiają w nas po sobie pamięć trwałą. Taką postacią, która w zaraniu niepodległości leśnictwa polskiego rozbłysła nad naszą niwą, jak meteor, był nieodżałowanej pamięci Kolega nasz, Kazimierz Bielański. Wszyscy jeszcze pamiętamy, jakie skarby ducha krył w sobie ten leśnik-poeta i wiemy, ile z życia swego człowiek ten poświęcił dla dobra umiłowanego nadewszystko lasu i leśnictwa.

Ale zarówno ci, co znali ś. p. Bielańskiego, jak i ci, co Go poznać nie mogli, powinni oddać należny hołd Jego pamięci i nie pozwolić, aby pamięć ta mogła wśród nas kiedykolwiek zaginąć. Powinniśmy wznieść temu człowiekowi-poecie trwałe mauzoleum, jeżeli nie z marmuru, to z owoców twórczości poety i odrobiny naszej dobrej woli.

Stać nas bowiem jeszcze z pewnością na zamówienie tomiku „Wyboru poezyj", którego wydanie grono przyjaciół i wdowa po Zmarłym powierzyła Związkowi Leśników.

Tomik, wydany z całym pietyzmem i starannością będzie zawierał prócz biografji najcelniejsze utwory poety, a koszt całości wyniesie zaledwie 3 złote.

Czekamy!

Wystosujmy więc kartę z zamówieniem i odeślijmy ją corychlej do Związku. Niech nie będzie z pośród nas nikogo, ktoby pamiątki tej po zmarłym, zasłużonym koledze, nie nabył, a tem samem nie przyczynił się do upamiętnienia jego życia i twórczości.

Związek Zwodowy
Leśników R. P.

Wysyłkę uskuteczniamy za pobraniem (zaliczeniem) pocztowem lub po uprzednim wpłaceniu całkowitej należności na nasze konto w P.K.O. Nr. 737 za każdy egz. 3 zł., oraz za przesyłkę pocztową, poleconą, która wynosi: 1 zł. od 1 egz., 1 zł. 50 gr. od 2—4 egz.; i 2 zł. od 5 do 7 egz.

PODRÓŻ

Z prześliczną moją panią,
Z duchową moją panią,
(Ach, wszystko dałbym za nią!
Ach, siebie dałbym za nią!)
Duchowy argonauta,
Do polotnego auta,
W odśnionych snów godzinie,
Gdy duszą wieczność płynie,
Wsiądę — w mej dłoni dłoń jej
Spocznie — i tak w harmonji
Milczącej, czułej, niemej
Przed siebie zapatrzeni,
Powietrzną toń przestrzeni
Prujący, mknąć będziemy.

Droga przed nami w pędzie
Ciągle się zwężać będzie,
Aż wreszcie, bez przestworza,
Jak ostrze będzie noża —
My na nie śmigłą strzałą
Wjeżdżamy, sunąc śmiało.

Po X godzinach jazdy,
Gdy już na niebie gwiazdy
Pierwsze rozkwitać poczną,
W krainę wskroś uroczną
Wjechawszy, staniem wreszcie,
W echowym sfer szeleście,
W kryształów atmosferze,
Gdzie złotolite dźwierze
Samotne — i już krata
Graniczna: KONIEC ŚWIATA.

Tam, w krasie ciągle niemej,
Wraz z auta wysiądziemy,
Szofera odprawimy,
I sami, w tej rodzimej
Krainie przeuroczej,
Z uśmiechem sobie w oczy
Spojrzawszy, wszystką dziękę
Niosący serc, pod rękę,
Śród ciszy sobosamej,
W WIECZNOŚCI wkroczym
bramy.

JÓZEF JANKOWSKI

ODCZYTY LEŚNE

Staraniem Sekcji Naukowej Oddziału Warszawskiego Związku Zawodowego Leśników w miesiącach: marcu, kwietniu i maju odbędzie się szereg odczytów, połączonych z dyskusją na aktualne tematy leśne.

Odczyty odbywać się będą w soboty o godzinie 5 pp. w lokalu Związku (ul. Nowy Świat 36, I piętro).

W marcu i kwietniu odbędą się następujące: *12 marca*, prof. Jana Kloski — Prasa leśna w Polsce i zagranicą. *19 marca*, Inż. Michała Wełyczki — Przyrost bieżący, jego znaczenie w teorji i praktyce. *2 kwietnia*, inż. Juljusza Frydrychiewicza — Rola leśnika w ochronie ptaków. *9 kwietnia*, Inż. Józefa Kostyrki — Rezerwaty leśne, ich utrzymanie i wyzyskanie. *16 kwietnia*, Inż. Jana Karpińskiego — Park Narodowy w Białowieży, jego znaczenie naukowe i turystyczne (z przezroczami).

Dr. Edwarda Chodzickiego — Zagospodarowanie lasów wokoło wielkich miast. *30 kwietnia*, Dr. Wacława Niedziałkowskiego — Typy lasu sosnowego w Polsce środkowej.

Wstęp na odczyty bezpłatny dla członków Związku i gości.

PODZIĘKOWANIE

Za oddanie ostatniej posługi Drogim mi zwłokom ś. p. Męża mojego, Jana Jagodzińskiego w tak tragicznej, a nad wyraz bolesnej dla mnie chwili — składam najserdeczniejsze podziękowanie WW. PP.: Dyrektorowi *E. Mickiewiczowi*, Inspektorowi *Wł. Wigurskiemu*, wszystkim Urzędnikom Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu, oraz Nadleśniczym tejże Dyrekcji.

Panu Jankowskiemu, dobrocią którego wzruszona jestem do głębi i Panu Gajkowi, którzy nie szczędząc trudów, nieśli pomoc i otaczali troskliwą opieką ś. p. Męża, aż do chwili zgonu, za wszelkie trudy przez Nich poniesione ślę wyrazy głębokiej i nigdy niezapomnianej wdzięczności.

Jednocześnie wszystkim PP. Urzędnikom i przezacnym Kolegom ś. p. Męża mojego, za ich dobroć, współczucie, oraz za zorganizowanie doraźnej pomocy, z której pozostałość od kosztów pogrzebowych w myśl decyzji Komitetu Pomocy została przeznaczona na rachunek nauki córki mojej Hani, tą drogą składam staropolskie „Bóg zapłać".

Halina Jagodzińska z dziećmi.

SPROSTOWANIE

W Nr. 2, str. 13 „Las zimą — w słonecznych rozświetlach", powinno być: Fot. A. Górecki, nie zaś, jak mylnie podano, P. Olszewski.

LASY i LEŚNICTWO ZAGRANICĄ

STOSUNKI LEŚNE I LEŚNICTW KANADY

(Dokończenie).

Zachodni żywotnik olbrzymi (Thuja plicata) zwany czerwonym cedrem spotyka się w rejonach o obfitych opadach. Na pasach pobrzeżnym i wewnętrznym mokrym w brytyjskiej Kolumbji.

Często nazywany jest olbrzymem cedrem (giant cedar) dla swych znacznych wymiarów. Osiąga bowiem 45 mtr. wysokości i 3 mtr. średnicy. Zajmuje drugie miejsce po daglezji w bryt. Kolumbji pod względem wartości handlowej. Specjalnie drewno nadaje się na łódki i kajaki, dzięki lekkości, trwałości i równowartości.

Zachodni żywotnik (Thuja occidentalis) dochodzi do mniejszych wymiarów rzadko powyżej 60 cm. średnicy. Wyrasta w okolicach o klimacie wilgotnym, poczynając od wschodniej części prowincji Manitoba do pobrzeża Atlantyku. Drewno jest nieco twardsze od drewna zachodniego żywotnika; użyteczność drewna ta sama co poprzedniego.

Jodła balsamiczna jest nazwą stosowaną do wszystkich gatunków jodeł, pomimo, że wschodni gatunek jodły nosi nazwę jodły balsamicznej. — Abies balsamica.

Jodła balsamiczna występuje na znacznych obszarach rejonów Wielkich Równien i we wschodnim rejonie, łącznie z białym i czerwonym świerkiem. Głównie służy drewno tej jodły do wyrobu papierówki. Znane w handlu olejki balsamiczne (Canada balsam) pozyskuje się z tej właśnie jodły.

Jodła nizinna (Abies grandis), zajmuje siedliska wilgotne w połdn. częściach pasów pobrzeżnego i wewnętrznego, mokrego w brytyjskiej Kolumbji. Osiąga wysokość od 37 — 52 mtr. i średnicę od 0,9 — 1,2 mtr. Użyteczność drewna jak jodły balsamicznej.

Jodła (Abies amabilis)) w występowaniu ogranicza się do pasa pobrzeżnego, ale w zasięgu dochodzi do Alaski. Bardzo podobna we wzroście i użyteczności do poprzedniej jodły.

Jodła alpejska (Abies lasiocarpa) wyrasta na wyższych wzniesieniach w prowincji brytyjskiej Kolumbji. Osiąga średnicę rzadko 60 cm.: drzewo służy do wyrobu papierówki.

Modrzew zachodni (Larix occidentalis) ogranicza się do południowej, wewnętrznej części brytyjskiej Kolumbji, w strefie pośredniej między pasami suchym i mokrym. Występuje łącznie z daglezją, osiągając średnicę od 0,60 — 1,20 mtr. i wysokość od 30 — 48 mtr.

Modrzew wschodni (Larix laricina) zwany tamarakiem występuje na siedliskach o glebach słabo przepuszczalnych często wespół z czarnym świerkiem. Poczynając od podnóża gór skalistych do pobrzeża Atlantyku i do północnej granicy lasu. Drewno służy na podkłady kolejowe i na użytek tartaczny.

Żółty Cyprysik (Chamaecyparis nootkatensis) spotykany tylko w brytyjskiej Kolumbji, wyrasta na wyższych wzniesieniach na południu prowincji. W zasiągu jednak dochodzi aż do poziomu morza północnego pobrzeża. Drewno cyprysika uważane jest za najtwardsze i najcięższe z drewien iglastych gatunków drzew kanadyjskich. Używa się w budowni-



Drzewa — olbrzymy w lasach amerykańskich

ctwie wodnem i łodziowem, oraz w meblarstwie.

Brzoza. W lasach Kanady znajduje się siedem gatunków brzozy, z których tylko brzoza żółta, papierowa i zachodnia posiadają wartość handlową.

Brzoza żółta (Betula lutea) jest najbardziej cenioną brzozą w handlu z uwagi na produkcję grubego drewna użytkowego. Występuje w prowincjach morskich i na zachód do wschodniej części jeziora. Superior. Występuje również wzdłuż granicy międzynarodowej (St. Zj.), poczynając od fortu William'a do jeziora Woods. Z brzóz krajowych osiąga największą wysokość 22 — 30 mtr. i średnicę od 0,60 — 1,20 mtr. Jest gatunkiem cienistym i zaliczane jest przeto do cienistych liściastych drzew. Drewno jest twarde, mocne, równosłoiste, łatwe do polerowania, używane szczególnie w meblarstwie, snycerstwie, i ścisłym przemyśle drzewnym (parkiety) oraz jako surowiec destylacyjny.

Dąb. W lasach Kanady występuje 12 gatunków dębu; większość z nich spotyka się w południowym liściastym pasie. W brytyjskiej Kolumbji występuje tylko jeden gatunek Quercus garrayana.

Dąb biały (Quercus alba) najbardziej jest ceniony.

Dąb czerwony (Quercus Rubra) bardzo rozpowszechniony posiada drewno nie tak mocne, jak dąb biały, niemniej jest ceniony.

PODZIAŁ WŁASNOŚCI LEŚNEJ

Polityka leśna zarówno rządu federalnego dom. Kanady jak i większości prowincjonalnych rządów jest wybitnie konserwacyjna, w sensie zachowania trwałego prawa własności państwa do gruntów leśnych. Państwowa własność leśna stanowi 90,4% ogólnej powierzchni lasów Kanady. Z prowincyj dom. Kanady, prowincje morskie w odróżnieniu od pozostałych prowincyj wykazują stan posiadania lasów zgoła inny. Na wyspie księcia Edwarda np. wszystkie lasy przeszły w posiadanie prywatnych osób i znajdują się w znacznem rozdrobnieniu przeważnie o typie lasów farmerskich (farmers! woodlots), od kilku do kilkunastu hektarowych. W nowej Szkocji 76% powierzchni wszystkich lasów należy do prywatnych osób, z tego prawie połowa przypada na obszary przewyższające 250 ha. W nowym Brunświku około 50% lasów znajduje się w prywatnem posiadaniu, a 20% przypada na obszary (hoidings) przewyższające 250 ha. W pozostałych prowincjach prywatna własność leśna stanowi procentowo od ogólnej powierzchni lasów prowincji: Quebec — 7%; Ontario — 3,3%; Manitoba 11,3%; Saskatchewan 10,4%; Alberta 15,7%; Brytyjska Kolumbja 13%.

W prywatnem zatem posiadaniu znajduje się w całym dominium Kanady zaledwie 9,6%, ogólnej powierzchni lasów.

Lasy miejskie lub gminne, tak pospolite w Europie, są prawie nieznane w Kandzie. W prowincjach Qubec i Ontario ostatniemi czasy rozwinięto w kierunku tworzenia lasów tego typu energiczną akcję propagandową.

Lasy zagospodarowane, względnie przeznaczone do trwałej produkcji leśnej, stanowią 6,6% ogólnej powierzchni lasów Kanady — 77,122 mil kwadrat.*). Powierzchnia ta obejmuje lasy państwowe (National forests) — 34,171 mil kwadrat., oraz rezerwaty i parki narodowe. W Brytyjskiej Kolumbji rezerwaty obejmują powierzchnię łączną 10.182 mil kwadr.; w Ontario rezerwaty i parki—23.855 mil kwadr.; w Quebeku rezerwaty i parki — 8.914 mil kwadr.

Inż. B. Nowacki

*) 1 mila kw. — 259 ha.

BOGACTWA LEŚNE RUMUNJI

(dokończenie)

Do powyższych przestrzeni należy zaliczyć jeszcze około 400.000 hektarów podlegających zalewom Dunaju zalesionych przez olchy, wierzby i topole.

Nasze równiny są ubogie w lasy; Baragon, Wołoszczyzna, Mała Wołoszczyzna, południowa część Besarabji, step południowej Dobrudży zupełnie pozbawione są ozdoby leśnej.

Długoletnim i ciężkim wysiłkiem naszego korpusu leśników udało się przez zasadzenie akacji na lotnych piaskach na przestrzeni około 30.000 hektarów przekształcić nieużytek na dobre lasy, a nawet na grunta rolne.

Nowe te lasy po dziesięcioletniej ich uprawie dostarczają okolicznej ludności wiejskiej materjału drzewnego dla jej gospodarstw.

Pod względem stanu posiadania lasy nasze dzielą się jak następuje:

Państwo	2.000.000 ha
Osoby prawne, instytucje publiczne	1.700.000 „
Własność prywatna .	600.000 „

Lasy państwowe oraz znajdujące się w posiadaniu osób prawnych wynoszą przeszło połowę wszystkich naszych zalesień i prowadzi się w nich racjonalną gospodarkę stosownie do przepisów prawa leśnego, t. j. gospodarkę z ponownem zalesieniem.

Roczna wydajność lasów rumuńskich w dzisiejszym ich stanie, t. j. licząc na roczny przyrost około 2 m.³ od hektara, przedstawia się w cyfrach następujących:

600.000 wagonów drzewa opałowego (wywozi się ⅖).
150.000 wagonów desek (z czego ⅖ z lasów szpilkowych). W kraju zużytkowuje się ⅓ desek gatunków szpilkowych oraz ¼ reszty.
20.000 progów kolejowych, prawie wszystkie zużytkowane w kraju.
6.000 wagonów klepek do beczek, których połowę spotrzebowuje się w kraju.
10.000 wagonów drzewa szpilkowego potrzebnych dla wyrobu celulozy oraz dla innych produktów uboczn.

Materjału drzewnego Rumunja ma poddostatkiem; jest on dobrego gatunku, o wielkiej różnorodności i o wszelkich pożądanych wymiarach. Wedle ostatnich danych statystycznych dostarczonych przez najwyższą dla spraw leśnych władzę, to jest przez tak zwaną „Casa Padurilor", stan gatunków drzewnych jest następujący:

Drzewa szpilkowe 305.000 hektarów (z tego ⅔ Picex).

Dąb 250.000 hektarów (na pierwszem miejscu Quercus pedunculata i Quer. sessiliflora).

Dąb karłowaty 95.000 hek-

tarów (doskonałe drzewo opałowe).

Buk 585.000 hektarów (będzie w przyszłości użytkowanym do najróżniejszych celów: na tafle ścienne, meble, parkiety, progi kolejowe).

Topola i wierzba 63.000 hektarów (ponieważ drzewa dębowego jest obecnie coraz mniej, przeto Amerykanie zużytkowują coraz więcej drzewa topolowego).

Lipa 58.000 hektarów (użytkowuje się dużo do wyrobu zapałek oraz form z drzewa).

Grab 87.000 hektarów (na listwy, pendzle, obuwie z drzewa etc.).

Jesion 24.000 hektarów (dla budowy wozów, na meble, samoloty).

Inne gatunki drzewa 380.000 hektarów (wiąz, jawor, brzowa, akacja, olcha).

Polepszenie jakościowe oraz zwiększenie posiadłości leśnych państwa rumuńskiego zawdzięczamy korzystniejszemu spostrzebowaniu naszych najgłówniejszych produktów leśnych, a oprócz tego współdziałaniu naszego personelu leśnego, którego działalnością kieruje doskonale i fachowo nasza najwyższa władza leśna, t. j. „Casa Padurilor".

„Casa Padurilor" poparła spółki spółdzielcze leśne, przez oddanie im użytku po cenach korzystnych lasów państwowych, oraz przez zapewnienie pomocy fachowej państwowego korpusu leśnego.



Zamek Bran w Transylwanji — otoczony lasami

Opierając się na tych korzyściach, zapewniających rozwój spółek spółdzielczych, Bank Narodowy Rumunji otworzył im kredyt którego potrzebowały.

Spółki te, chcąc zachęcić robotników wiejskich do współpracy, zaprowadziły odpowiednie premje, zapewniając każdemu współudział w zyskach w stosunku do wykonanej przez niego rocznej pracy.

W ten sposób ułatwia się znacznie na przyszłość gospodarkę w lasach państwowych.

Wszystkie istniejące spółki leśne związane są najściślej z instytucjami kredytowemi zagranicznemi i funkcjonują tylko dzięki poparciu tego kapitału, który przyczynił się znacznie do rozwoju rumuńskiego przemysłu drzewnego.

Kapitał inwestowany w przemyśle drzewnym wynosił na początku roku 1920 478.000.000 lei w złocie z czego 50.000.000 lei w złocie w przemyśle papierniczym.

Wszystkim tartakom Rumunji w ogólnej ilości 502 dostarcza się drzewa wartości 8.000.000 lei.

Interesy przemysłu drzewnego są dzisiaj ściśle związane z gospodarstwem całego kraju.

Drzewo rumuńskie wywozi się nietylko do krajów europejskich, ale również do Egiptu, Małej Azji, Palestyny, Afryki Północnej, Gibraltaru i t. d.

Wywóz drzewny rumuński normalny powinien wynosić 500.000 tonn, ponieważ wyrąb racjonalny leśny mógłby dać w cyfrach okrągłych 17.000.000 m.^{3}.

Jon Codru



Wyspa Adah - Kaleh w otoczeniu zelesionych gór



ECHA ŁOWIECKIE



NOWA USTAWA O OCHRONIE PTAKÓW

Komisja Rolnicza Sejmu uchwaliła wniesiony przez Radę Ministrów w sierpniu ubiegłego roku projekt Ustawy o przystąpieniu Polski do Międzynarodowej Konwencji Paryskiej z r. 1902 o ochronie ptaków pożytecznych dla rolnictwa.

Ustawa ta, oddawna wyczekiwana przez wszystkich miłośników przyrody w Polsce, po wejściu jej w życie będzie miała bardzo doniosłe znaczenie ekonomiczne, jak również dla ochrony naszej fauny ornitologicznej.

Jak wiadomo, Polska dotychczas nie posiadała jednolitej ustawy, któraby chroniła wszystkie ptaki na terenie całego państwa. Ustawa Łowiecka z 3.XII 1927 r. ochrania jedynie gatunki t. zw. „łowne", t. j. te, na które wolno polować w określonych terminach. Natomiast ustawa Łowiecka nie zajmowała się wcale resztą gatunków naszych ptaków krajowych, a zwłaszcza drobnemi, śpiewającemi i owadożernemi ptakami, które ze względu na swoją wielką pożyteczność posiadają ogromne znaczenie dla rolnictwa.

Tymczasem ptaki te wyłapywane były masowo i sprzedawane na targach lub też wywożone zagranicę mimo pozorne go zakazu.

To też rozmaite organizacje humanitarne jak Tow. Opieki nad Zwierzętami, Liga Ochrony Przyrody, Liga Przyjaciół Zwierząt i t. d. występowały niejednokrotnie do Władz z prośbą o wydanie odpowiednich przepisów ochronnych dla tych ptaków. Przepisy te jednak nie zostały dotąd wydane, a to dlatego, że nie istniało u nas w b. Kongresówce żadne uzasadnienie prawne do wydania tych przepisów.

Świeżo uchwalona przez Sejm ustawa usuwa ostatecznie te braki i daje trwałą podstawę ochronie wszystkich ptaków krajowych.

Lecz ustawa ta redagowana trzydzieści (30) lat wstecz, posiada wiele przepisów już przestarzałych, które nie odpowiadają współczesnemu zapatrywaniu nauki w tej dziedzinie. Będą więc one znowelizowane.

Sekcja Ochrony Ptaków Ligi Ochrony Przyrody w Polsce (Warszawa ul. Bagatela 3) opracowała już szereg postulatów dotyczących nowelizacji tej Ustawy. Zostały one już uzgodnione z wszystkiemi zainteresowanemi instytucjami i organizacjami pokrewnemi i będą w najbliższych dniach przedstawione czynnikom miarodajnym w Państwie.

Zasadniczym postulatem Sekcji O. P. jest skreślenie w nowej Ustawie listy Nr. 2, t. zw. ptaków „szkodliwych". Wszystkie ptaki odtąd zostaną podzielone na dwie tylko grupy: 1) na ptaki „łowne", t. j. na te, na które wolno polować w określonych terminach i 2) na „niewolne", t. j. które będą ochraniane przez cały rok.

Specjalna uwaga udzielona jest ochronie ptaków drapieżnych, których licznym gatunkom, ze względu na masowe ich tępienie, grozi już całkowita zagłada. Ptaki te są bardzo pożyteczne dla rolnictwa, tępią bowiem wiele szkodliwych gryzoni jak szczury, susły, chomiki i myszy.

Największe i najrzadsze gatunki naszych drapieżców, jak orły, sępy, puhacze będą zaliczone do kategorji „pomników przyrody" i dzięki temu ściśle ochraniane.

Powyższa uchwała Sejmu, wprowadzająca trwałą ochronę wszystkich gatunków ptaków w Polsce, została przyjęta z najwyższem zadowoleniem przez wszystkich miłośników przyrody naszej, a jest nim niewątpliwie każdy kochający swą Ojczyznę Polak.

PANEM ET CIRCENSES

I.

Zaiste wracamy pomału, do czasów i psychologji Neronów i Heliogabolów przeróżnych!

Pierwiastki potencjalnego okrucieństwa, mentalność epok walk gladjatorów, lubowanie się w krwiożerczych podnietach, opanowują, niestety, coraz więcej współczesny nastrój szerokich mas! Smutny to nader objaw!

Myśli podobne, winny się zrodzić przy oglądaniu filmu p. t.: „Trader Horn", który cieszył się kolosalnem powodzeniem zagranicą i niestety, u nas w Polsce także!

Film ten można było oglądać w Światowidzie.

Nie da się zaprzeczyć, że techniczna strona tej produkcji, jako wysiłku zdjęć z natury i szeregu realnych scen myśliwskich, jest niezawodnie bardzo wysoka.



Kuguar, pospolicie zwany kotem amerykańskim, w głębi puszczy kanadyjskiej śle o tej porze swój zew miłosny, niczem nasze zwykłe koty domowe.

Ileż to taka ekspedycja do Czarnego Kontynentu — odsłaniająca misterja uchwycone na żywo w dżungli tajemniczej — kosztować mogła miljonów, jaki olbrzymi zapas trudów?!

Ileż to wiedzy fachowej, cierpliwości anielskiej i czasu zostało włożone w podobne nakręcanie!

Tembardziej pożałowania godnem jest owe rozkoszowanie się szeregiem scen o podłożu wybitnie sadystycznem.

Trudno jest innem mianem określić fragmenty rozszarpywania żywych ofiar, poczciwych negrusów, przez rozszalałe nosorożce i inne bestje!

W poprzednich filmach tego rodzaju, przynajmniej odbywały się te ohydne sceny w milczeniu, dziś, mamy już dźwiękowce, „a la bonheur". Możemy się więc do syta napawać, nie tylko widokiem mas czarnych ofiar, ale także ich rozdzierającemi duszę lamentami!...

Mimo stosowania trików w podobnych filmach, scena nadziewania na róg nosorożca biednego czarnego, wyglądała na scenkę z natury. Jako myśliwy, zdaję sobie doskonale sprawę, że łowiectwo wymaga skrócenia cierpień zrulowanego, lecz męczącego się, jeszcze objektu, wymaga tego zresztą etyka myśliwska.

Ale, żeby delektować się wstrętnym widokiem konania w drgawkach odchodzących zwierząt? Przenigdy!... Na to, trzeba już posiadać całkowicie zwyrodniałą mentalność wyrafinowanego okrucieństwa!

Coby na to powiedział, taki sobie prosty, zwyczajny człowiek, jak ś. p. tylokrotnie opisany przeze mnie, mój pierwszy mentor łowiecki, Bronio Dymnicz, który uczył mnie odwracać się, gdy oczy słonki na zawsze mgłą śmierci się zasłaniały?

Czyżby mógł napawać się krwawym spektaklem zjadanego mięsa?

Z oburzeniem splunąłby chyba, prostak poczciwy!... Dzięki Ci Boże i Ś-ty Hubercie!...

II.

Nie pamiętam równie silnego wrażenia, jakie wywarła na mnie podczas demonstracji tej przepięknej ohydy, obserwacja, przepełniającej widownię naszej, polskiej publiczności!

Histeryczne manifestacje płci pięknej, płacz dzieci przyprowadzonych przez rodziców na ten dozwolony dla młodzieży film pedagogiczny. Nie brakło też wyrazów rzetelnego oburzenia nad „jatkowemi" okrucieństwami brzydkiej połowy rodu ludzkiego, jednem słowem wśród audytorjum panował niesamowity nastrój.

Przy akompanjamencie przeżyć podobnych, sługa łaskawych Czytelników odtwarzał w swej wyobraźni sposób reagowania, przepełniony szlachetnymi pobudkami naszego, nietylko przeciętnego „publicum" — ale, także naszej krytyki!

Wyciąg z tych objawów, był aż nadto pocieszający!

Jeszcze uwydatnił się wysoki ogólny poziom etyki polskiej!

Każdemu z nas, pamiętne są wyrazy oburzenia z powodu pewnych „produkcyj" myśliwskich, piętnowanych jak najstaranniej ongiś przez wysoce utalentowanego redaktora Pawlikowskiego odnośnie łowów borsuczych.

Byłem kiedyś stanowczo przeciwnym tym wyświetleniom i przepowiadałem niesmak murowany z powodu podobnych przebojów ekranowych.

Ale stało się to nie przez żadną złą wolę — broń Boże — a li tylko na skutek lekkomyślnego nieco traktowania sprawy. Zresztą, wówczas tak mało robiło się u nas swojskich zdjęć łowieckich, że nikt się nie zastanawiał nawet, czy to uchodzi? — jak widownia zareaguje na to?

Byle, choćby „coś" pokazać z naszego łowiectwa! Cieszyliśmy się, jak dzieci każdem nowem poczynaniem filmowem.

Dobijanie kaczki kolbą — i toby się pokazało, — bo to nasza zwierzyna i nasze tereny!

Inaczej stanowczo rzecz się ma — kiedy miljonowa impreza stwarza całą ekspedycję kinową — którą zatem świat cały będzie oglądać!

Tu już i mowy być nie może — o naiwnej radości — niemal, że dziecinnego oglądania swoich ludzi na swoich łowiskach!

Podobna impreza ponosi już odpowiedzialność ideową przed wszechświatową publicznością!

Później, pamiętam też, straszne słowa ostrej krytyki hr. Zamoyskiego z powodu haniebnej sceny pożerania „sikarego" (murzyna - posługacza) przez drapieżnika w jednem, też bardzo udatnem zdjęciu egzotycznem: „Afryka mówi"..

Jako fragment niemy — nie robiło to i w części tego przygniatającego wrażenia koszmaru — z „Trader-Horn" — chociaż też było nader przykre.

Wszystkie owe szlachetne objawy protestu świadczą o wysokim poziomie u nas humanitaryzmu myśliwskiego — powiem więcej, ogólno-ludzkich — uczuć.

Cześć za to należna jest naszemu społeczeństwu i pisarzom... Bo czemże są pisarze, czem jest cała literatura — jeśli nie odzwierciadleniem nastrojów masowych!

Jesteśmy albowiem krwią i kością naszych braci Czytelników!

Od nich to czerpiemy wszelkie źródła natchnienia! Ich myślą żyjemy.

Środowisko ma zawsze taką prasę — jaką umiało sobie wyrobić!

I zdaje mi się, że sam fakt pojawienia się takich protestujących artykułów, już winien wlewać otuchę śród podobnie odczuwających.

Bo każdy cierpi, oglądając każdą rzecz niesmaczną, lecz nie każdy może to później „sprecyzować", ująwszy zagadnienie w formę literacką!

Pisarzy powołaniem jest przyłożyć palec do takich bolączek.

I przykładaliśmy, i na nie zwracać uwagę będziemy, gdyż jest to naszym obowiązkiem. Z drugiego zaś punktu widzenia — serce się kraje — że taki ogrom pracy został włożony w realizację wspaniałego zaiste dzieła, tak monumentalnego filmu! — Miał jednakże swym podłożem grę na niezdrowych instynktach — żądzy krwi i cierpień — bezpiecznie oglądanych, za swoje „krwawych" parę złotych.

I na taki to podkład liczyli „autorzy" tej okrutnej inscenizacji! —



Wiosna... .

A ponieważ podaną jest oczom widzów w całej okazałości wytwórczość wysoce utalentowanych reżyserów, tembardziej jest szkodliwą i zabójczą.

W tym wypadku, tak dobitnie potwierdzają się słowa wielkiego francuskiego poety Sully Prud'homa „car la foule — aime, entre toutes les fêtes — a craindre en surete (nie masz rozkoszy większej dla tłumu, jak możliwość bezpiecznej bojaźni).

Święte, prawdziwe słowa te — określają nieraz stan duszy przeciętnego widza!

III.

Reasumując: śmiało powiedzieć można — że jednakże żadne społeczeństwo nie posiada tyle zalet subtelnej dobroci, tyle potencjalnych nieraz cech etyki, kultu, dla każdej cierpiącej istoty — co nasze polskie środowisko!

Odczułem to niejednokrotnie — przy tylu okolicznościach! Przekonałem się gruntownie o tem przy każdej demonstracji bezlitosnych filmowań!

I co mię jeszcze w większą otuchę zawsze wprowadza, to jest to, że najczęściej głosy potępienia w razach podobnych pochodzą z naszych sfer łowieckich!



Zdawać by się mogło!?...

Myśliwy, tyle i tak często ubija zwierzyny, jest poniekąd przyzwyczajonym do sprawiania wszelkiego bólu — jakież to na nim wrażenie może czynić!?

Chyba sądze wręcz najmniejsze.

Otóż, w tem cały sęk!

Epilogiem wszelkich poczynań i zabiegów łowieckich, oczywiście — raczej zdobycie trofeum, ale nigdy — przyczynianie niepotrzebnego bólu!

Prawdziwy myśliwiec upolować musi, ale znęcać się nie będzie nad żadnym żywem stworzeniem Bożym.

Powiem więcej — wystąpi w każdym wypadku w obronie tych nędzarzy, biednych żywych tworów, które padają tak często w ofierze Molochowi „rozklekotanej" neurastenji — drzemiących, atawistycznych zaczątków, barbarzyńskich okrucieństw — w każdym z nas niestety! — Gwoli chorobliwemu zadośćuczynieniu krzyku duszy tłumów starożytnej Romy, wołających do swoich Cezarów: „Panem et circenses".

Chleb jest, to rzecz wielka, święta i prosta bardzo! — zdrowa i niezbędna zawsze! — ale widowiska bywają nieraz nietylko dla swych ofiar zabójczemi.

Od podobnych chroń nas zawsze Boże i Ś-ty Hubercie!

Adam Rzewuski.

BOBRY W POW. SŁONIMSKIM

Słonim i teren całego powiatu — to miejscowości, bogate w przeszłość historyczną, tak narodową jak religijną, to teren ciągłych wojen i inwazyj. Nietylko jednak historja uwypukla i wysuwa Słonimszczyznę na czoło terenów na rubieżach wschodnich Rzplitej. Teren ten ma również bogatą faunę, wśród której prym dzierżą, już bardzo rzadko w Polsce spotyka e bobry.

W kilku najbardziej niedostępnych i gęsto porośniętych trzciną i innemi wodoroślami miejscowościach pow. słonimskiego nad Szczarą gnieżdżą się bobry, któremi od kilkku lat opiekuje się słonimskie kółko łowieckie. Jednakże doświadczenie lat ubiegłych wykazało, że środki ochrony stosowane przez kółko łowieckie nie są wystarczające, i nie odnoszą odpowiedniego skutku w przeciwieństwie do rozwielmożnionego — jak zresztą i gdzieindziej — kłusownictwa i nieżyczliwości właścicieli gruntów, na terenie których bobry mają swe siedziby.

Najpoważniejszym terenem bobrowym jest teren maj. Litwa, gdzie bobry posiadają kilka t. zw. „chat", zaś ilość ich sięga kilkunastu. Miejsce to jest wyjątkowo dogodne dla bobrów, lecz ochrona jest niedostateczna i spokój, tak upragniony przez nich, jest ciągle zakłócany. Coprawda wynajęty przez kółko łowieckie stróż czuwa nad bezpieczeństwem tej rzadkiej zwierzyny, lecz niesprzyjające warunki natury lokalnej nie dają mu możności należytego wykonywania swoich obowiąków, gdyż teren ten stanowi prywatną własność, właściciel którego odstępuje tereny przybrzeżne rybakom, którzy wykonywując swe czyności zawodowe, nie zawsze przestrzegają przepisów ochronnych i często niepokoją bobry.

W. Klimkiewicz

WEYSSENHOFF JAKO MALARZ PRZYRODY

W rozległej skali talentu J. Weyssenhoffa jednym z najistotniejszych elementów jest jego upodobanie i umiłowanie piękna przyrody. Prawdziwą pełnią artyzmu nacechowane są przedewszystkiem te jego dzieła, w których autor występuje jako malarz przyrody. Stosunek Weyssenhoffa do przyrody jest czemś więcej od zręcznej pozy literackiej, na którą dziś chorują różni regjonaliści, jest aktem entuzjazmu, który rodzi się w najtajniejszych głębiach duszy i przemawia do najistotniejszej treści życia duchowego człowieka. W dionizyjskim stosunku Weyssenhoffa do przyrody odnajdujemy autentyczne echa tego pradawnego zbratania się człowieka z przyrodą, które jest dziś, w epoce maszynizacji kultury i czczego werbalizmu, cechą niewielu wybitnych, istnym darem bogów dla wybrańców.

To też „Soból i panna", czy „Puszcza" dlatego oddychają pełnią artystycznego wyrazu, że wypełniające je opisy przyrody, to nie są jakieś dygresje wyrafinowanego estety, lecz stanowią o całej atmosferze, która dzieło wypełnia, wchodzą w jego koloryt i treść.

Ich swojskość nie jest robiona, jest tak naturalna, jak naturalnem jest samo życie przyrody, rozkwitającej w słońcu, skąpanej w rosie, zatopionej w zapachach i woniach.

Weyssenhoff nie mówi od siebie o przyrodzie i jej tajnikach, mówi w imieniu przyrody, nie jako obojętny widz-reporter, ale jako cząstka tej przyrody, jedno z ogniw jej życia i przemian wiekuistych.

Ta zdolność związania swego życia z życiem przyrody, czucia jej czuciem, myślenia jej „myślami", to jest właśnie tajemnica alchemiczna Weyssenhoffa jako malarza przyrody.

W skarbnicy staropolskiego słownictwa ludowego, wyrosłego na tle rolnictwa i myśliwstwa całych pokoleń i odległych wieków, odnalazł Weyssenhoff najbardziej wartościowe klejnoty i inkrustuje niemi swe dzieła.

Weyssenhoff, jako zapalony myśliwy, w rytmie własnej krwi, w sympatjach i animozjach znajduje zresztą nieomylny sprawdzian dla autentyczności swych obrazów.

To też jego opisy przyrody są ściśle zlokalizowane. Możnaby według nich ustalić nietylko topograficzny, ale i ideogramiczny charakter opisywanego pejzażu. Z kart książki bije prawda, porywająca naszą wyobraźnię z niemniejszą siłą, niż płótna Chełmońskiego.

Krajobraz Weyssenhoffa jest ściśle zindywidualizowany i ustalony. To nie jest fantazja böcklinowska. Jak w „Melodji mgieł nocnych" Tetmajera czuć góry z ich szczególną, własną atmosferą i charakterem, podobnie w „Puszczy" Polesie śpiewa nam pieśń o sobie, o uroku i tajemnicach lasów, błot i jezior... Taki mistrz malarstwa przyrody jak Weyssenhoff musi odznaczać się szczególną zmysłową wrażliwością jej piękna. Mamy tę wrażliwość rozwiniętą do niebywałych granic, lecz mamy jeszcze coś więcej. Weyssenhoff nie jest płytkim sensualistą, którego życie kończy się na naskórku. Weyssenhoff rozumie przyrodę, wgłębia się w jej treść metafizyczną, kocha ją, jak kocha się cel wybiegający poza szranki doczesności.

Przedewszystkiem jednak jego obrazy przyrody są niezawodne w dosadności precyzji i subtelności kolorystyki literackiej. „Puszcza" spowiada się pod jego piórem z blasków i nędz swego życia, tak, jak spowiada się ukochanemu — kochanka, którą porwał purpurowy płomień namiętności.

„W samym środku puszczy panował skwar nieprzerwany nawet przez burze, które zgromiły niejeden szumny hełm sosny, powalając kłodę na mszyste dno zielonej otchłani... We wnętrzu gęstwiny, strzeżonem przez stutysięczne kadry pni potężnych i miękkie podszewki liściaste, dyszał tu upał zgęszczony wonią i ciszą...

Na dębie ryś, co... „wdrapał się wysoko, bo wiedział, że Ptycz płynie w pobliżu, a dech jej świeższy, niż gorące oddychanie lasu, idzie wszerz przez górne warstwy puszczy, muskając lubo po chrapach, po wąsach i po oczach przez cienkie, szare powieki. Wtem ryś rozwarł szeroko żółte ślepia w twarzy, ziejącej drapieżnością, uszy nastawił i skłębił się cały do skoku"...

Takich opisów, porywających prostotą a jednocześnie artystyczną barwnością pełno na kartach dwu jego arcydzieł „Sobola" i „Puszczy".

W literaturze polskiej niewielu ma Weyssenhoff godnych siebie współzawodników w malowaniu przyrody.

J. Czarnecki.

KOMITET JUBILEUSZOWY JÓZEFA WEYSSENHOFFA

Komitet Honorowy: Marszałek senatu b wojewoda wileński P. Władysław Raczkiewicz, minister wyznań relig. i oświec. publ. P. Janusz Jędrzejewicz, prezydenci: Warszawy, P. inż. Zygmunt Słomiński, Poznania P. Cyryl Ratajski, Lwowa P. Wacław Drojanowski, Wilna P. Folejewski, b. minister kultury i sztuki P. Zenon Przesmycki (Miriam).



Ten z największych, jakich w piśmiennictwie mamy i mieliśmy, najdrogocenniejszej puścizny naszego piśmiennictwa i polskości spadkobierca najprawowitszy, Józef Weyssenhoff, obchodzi 40-lecie pracy dla literatury.

Ile w naszej rasie jest poloru i wykwintu, zamiłowań do oświecania, przyrodzonej skłonności do patrzenia na świat uśmiechniętemi oczami, — ile w całej naszej rycerskiej naturze tego pióropuszu, który jestestwu naszemu nadaje lot i wyższe o ten pióropusz wzrosty uczuciowości, — tyle umiłowania ziemi i przyrody, tyle fantazji, wdzięku i czaru polszczyzny, uprawy cywilizacyjnej i dworności, a co nie mniej ważne, duchowego ładu, odnajdziemy w dziełach jubilata „Soból i panna", „Sprawa Dołęgi". A znów ileż satyrycznego dowcipu, soli attyckiej, w pierwszej najsłynniejszej powieści tegoż Autora „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego".

Komitet Wykonawczy jubileuszu przygotowuje uroczystą Akademję i do udziału w tej Akademji, która odbędzie się po wyjściu z druku zbiorowego wydania dzieł Weyssenhoffa, Komitet zaprosił mistrza Ignacego Paderewskiego. Tymczasem zaś Komitet podnosi hasło ufundowania Daru Narodowego dla Józefa Weyssenhoffa, w nadziei, że hasło to ogarnie wszystkich, organizacje samorządowe i instytucje społeczne, — to jest wszystkich, którzy czują idealną moc zawartą w literaturze i sławie polskiego imienia.

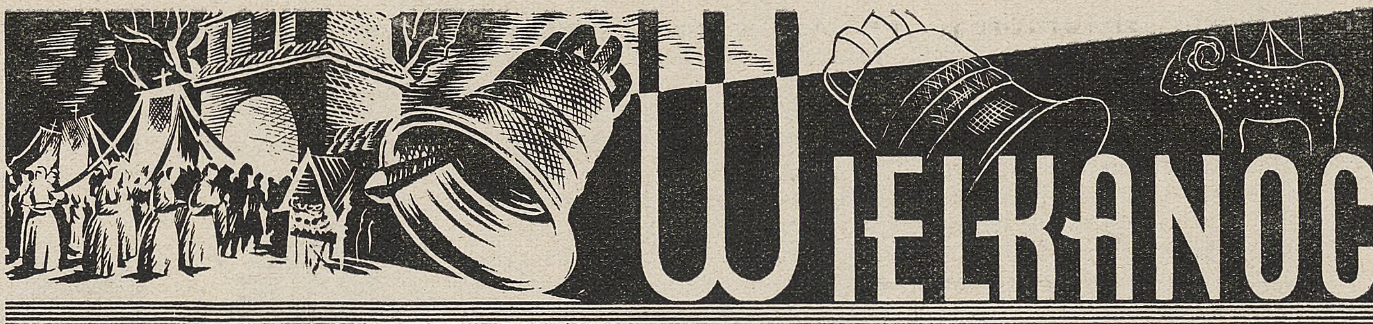
Komitet podaje do wiadomości konto **Nr. 10.084 P.K.O.** w Warszawie z prośbą o nadsyłanie ofiar pieniężnych na cel wyżej wyrażony.

Komitet wykonawczy: delegaci Stowarzyszeń literackich: Kasy Literackiej: Ignacy Baliński, St. Rodkiewicz, Penclubu: L. H. Morstin, Synd. Dzien.: J. Czempiński, Tow. Literatów i Dzienik.: St. Miłaszewski, A. Słonczyńska, Zrzesz. Belletr. M. Smolarski, Zw. Aut. Dram.: J. A. Hertz, Zw. Zaw. Lit. Polsk: Zofja Nałkowska, ponadto F. Goetel, A. Grzymała - Siedlecki, M. Makuszyński, H. Mościcki, — z Warszawy, J. A. Gałuszka, K. H. Rostworowski — z Krakowa, W. Noskowski, J. E. Skiwski, E. Zegadłowicz — z Poznania, W. Hulewicz z Wilna, M. Fijałkowski ze Sklut p. Kutno.

Prezydjum Komitetu: F. A. Ossendowski, (prezes), I. Baliński, (wiceprezes) F. Karpiński, skarbnik St. Rodkiewicz, A. Godziemba-Wysocki sekr. generalny.

WSZYSTKIM WSPÓŁPRACOWNIKOM, CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM „ECH LEŚNYCH" SKŁADAMY SERDECZNE I JAKNAJLEPSZE ŻYCZENIA: „WESOŁEGO ALLELUJA".

REDAKCJA.



Alleluja! Alleluja!

Zwycięskie, chwalebne rozbrzmiewa po świecie całym Alleluja!

Zwycięstwo Chrystusa nad śmiercią — zwycięstwo Jezusa nad światem — uwieńczenie całego budowania Chrystusowego obchodzimy — wesołe, zwycięskie Alleluja tryumfuje na świat cały!

„A jeśliż Chrystus nie powstał próżne tedy jest przepowiadanie nasze, próżna jest i wiara wasza" (I Kor. XV, 14) — powiedział Apostoł.

A jeżeli powstał, a jeżeli zmartwychwstał, to jakież mocne jest nasze przepowiadanie, jakież silne i nieustraszone posłannictwo Kościoła, jakżeż pełna i potężna nasza wiara!

Alleluja — Chrystus zmartwychwstał — Chrystus znowu żyje i rozpościera swoje panowanie!

A jakże jeszcze niedawno, zdawało się wszystkim, że sprawa Chrystusa jest stracona zupełnie — jakże beznadziejna była tragedja wielkopiątkowa. Motłoch wył — „Ukrzyżuj Go... ukrzyżuj... strać... wypuść Barabasza, a Jezusa ukrzyżuj... nie mamy króla, jeno cezara!... ukrzyżuj Go!"

Apostoł Judasz staje się zdrajcą...

Wybrani z pośród wybranych opuścili go... Ten, upatrzony na opokę przyszłego Kościoła, zapiera się i nie chce znać Chrystusa... wszystko stracone... wszystko, co ludzkie, zawiodło.

A złość ludzka w krótkowzroczności swojej obmyśliła wszystko, żeby i zmartwychwstaniu przeszkodzić. Po złożeniu Chrystusa Pana do grobu i wtedy faryzeusze byli jeszcze niespokojni, bo biegną do Piłata i mówią:

„Panie, wspomnieliśmy, iż on zwodziciel powiedział jeszcze żyjąc: Po trzech dniach zmartwychwstanę. Przeto rozkaż, aby strzeżono grobu, aż do dnia trzeciego: aby snać nie przyszli uczniowie jego i nie ukradli go, i nie powiedzieli ludowi: Powstał zmartwych: i będzie ostatni błąd gorszy, niż pierwszy.

Rzekł im Piłat:

Macie straż: idźcie, strzeżcie, jako umiecie.

A oni szedłszy, obwarowali grób, zapieczętowawszy kamień, ze strażą" (Mat. XXVII 63 — 66).

I strzegli jak umieli — ba, nawet tak strzegli, że chociaż spali, widzieli, wprawdzie za pieniądze, ale widzieli — „wziąwszy pieniądze, uczynili jako ich nauczono" (Mat. XXVIII, 15) — a ponieważ nauczyli ich zbyt mądrze: „powiadajcie, iż uczniowie jego w nocy przyszli i ukradli go, gdyśmy spali" (l. c. 13) — i tym strzeżeniem, i pieczęciami, wbrew swojej woli, dali największy dowód historyczności zmartwychwstania.

„A oto się stało wielkie drżenie ziemi. Albowiem Anioł Pański zstąpił z nieba: i przystąpiwszy odwalił kamień i siedział na nim. A było wejrzenie jego jako błyskawica: a odzienie jego jako śnieg. A od bojaźni jego stróże przestraszeni są, i stali się jakoby umarli.

A odpowiadając Anioł rzekł niewiastom: Nie bójcie się wy, gdyż wiem, iż Jezusa, który ukrzyżowany jest, szukacie. Niemasz go tu: albowiem powstał, jako powiedział: chodźcie, a oglądajcie miejsce, gdzie był położony Pan". (Mat. XXVIII, 2—6).

Zmartwychwstał Pan prawdziwie — Alleluja!

Przez Krzyż do Chwały — przez Golgotę do Zmartwychwstania — Chrystus znowu zwycięski — Chrystus znowu panuje — Alleluja!

Ks. Zygmunt Choromański

MAGDALENA I CHRYSTUS

Błękitne mgły pajęcze
owiały drzewa śpiące,
po siwych wodach tęcze
włóczyło złote słońce.

Słoneczne zamyślenie
świat owładnęło cały,
gdy Marji Magdalenie
zjawił się Zmartwychwstały.

Zgięła ją cześć i trwoga,
żałość cisnęła łono — —
a On szedł tam, do Boga,
wdal senną, nieskończoną.

W błękitne mgły przejrzyste
szedł biały w blaskach słońca,
a ona szepcąc Chryste!...
patrzała nań klęcząca.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

ŚWIĘTO WIELKIEJNOCY

„Uroczystość Wielkiejnocy", mówi św. Grzegorz, jest uroczystością nad uroczystościami, przenosi nas z ziemi do wieczności i dozwala nam używać jej już teraz przez wiarę, nadzieję i miłość. Jest to święto nad wielki wyraz radosne. Człowiek kocha życie, a tego dnia czuje, że jest nieśmiertelny. Chrystus, kruszący żądło śmierci, wraca człowiekowi prawo do życia. Tę wiarę i radość wyrażają obrzędy Kościoła katolickiego.

Rozpoczynają się one od „rezurekcji". Nabożeństwo to odbywa się albo wieczorem w sobotę, albo w niedzielę o wschodzie słońca, a w każdym razie bardzo rano.

Dzwony rozgłośnie i radośnie wzywają wiernych. Grób jest rzęsiście oświetlony. Celebrans, ubrany w komżę oraz stułę i kapę koloru białego, klęka przed Najświętszym Sakramentem w grobie wystawionym i śpiewa wraz z asystą antyfonę o bardzo radosnej i pięknej melodji: „Gloria Tibi Trinitas" (Chwała Tobie Trójco), następnie psalmy, poczem odprawia ceremonję, jak przy zmarłym, więc kropi grób wodą święconą i okadza, poczem wzniósłszy monstrancję, intonuje bardzo wzrusza-

jącą w melodji „Cum Rex gloriae", a gdzie niema chóru, nasze przeradosne „Wesoły nam dziś dzień nastał" i poprzedzany przez bractwa z zapalonemi świecami, chorągwiami, feretronami (ołtarzyki przenośne) w uroczystej procesji obchodzi trzy razy kościół, lub dokoła kościoła cmentarz kościelny, prowadząc za sobą cały zebrany lud. Pochód rozpoczynają chłopcy w komżach, z których jeden niesie figurkę zmartwychwstałego Chrystusa, trzymającego w ręku chorągiew, jako godło tryumfu nad śmiercią, drugi — krzyż przepasany czerwoną stułą, godło pełnej władzy kapłańskiej Pana Jezusa.

Po powrocie do ołtarza celebrans stawia na nim monstrancję, a uklęknąwszy na stopniu, trzykrotnie podnosi krzyż rezurekcyjny, śpiewając tryumfalne: „Powstał Pan z grobu", na co chór odpowiada: „Który za nas zawisł na krzyżu".

Potem następuje „jutrznia", uroczyste „Te Deum" i schowanie, po odśpiewaniu „Salvum fac", Najświętszego Sakramentu i jeżeli „rezurekcja" była odprawiana rano w niedzielę — uroczysta msza święta. Święto Wielkiejnocy było obchodzone za czasów apostolskich, a już Żydzi nawróceni i ochrzczeni, z żydowską paschą łączyli obchód Zmartwychwstania. W pierwotnym kościele wschodnim dawano sobie „pocałunek miłości", co do dziś dnia tam zostało, jako ceremonja kościelno-towarzyska, traktowana bardzo poważnie i jako moment religijny. Mówią przytem: „Chrystus zmartwychwstał" — „Naprawdę zmartwychwstał".

Wielkanoc ma również charakter uroczystości rodzinnej. Pamiętniki naszych tułaczy od Syberji do San Domingo pełne są łzy wyciskających opowieści o obchodach na wygnaniu.



Jajko, będące w całej niemal Europie nieodzowną częścią składową najskromniejszego nawet święconego, posiada i w tradycyjnych zwyczajach naszego ludu niezwykle szerokie zastosowanie Fakt, iż odpowiedniki obrzędowego znaczenia jaja i przesądów z niem związanych, spotykamy nie tylko w wielu krajach współczesnej Europy, lecz, że ślady ich widoczne są w folklorze dawnej Grecji i Rzymu, a nawet Indji, może świadczyć, iż mamy tu do czynienia ze szczątkami niezwykle starożytnych wierzeń, wyrosłych na wspólnem podłożu kultury indoeuropejskiej.

Według jednego mitu induskiego, na samym początku miał świat kształt olbrzymiego, unoszącego się w przestworzach jaja, które się w pewnej chwili rozdarło na połowę i utworzyło niebo i ziemię. Porównanie jaja do ziemi narzucało się wprost samo człowiekowi pierwotnemu, przyzwyczajonemu do rozumowania przez analogję: i ziemia i jajko są istotami żywemi, lecz trwającemi w stanie chwilowego uśpienia, dopóki fale ciepła nie zaczną wyzwalać utajonej w nich energji, dając im możność powolnego, stopniowego rozwoju. Ponieważ początkiem okresu wyzwalania się utajonych w ziemi sił jest naturalnie wiosna, budząca do intensywnej pracy całą przyrodę, a wraz z nią i człowieka, więc folklor wielu ludów włączył jajko do jadła obrzędowego uczt okresu wiosennego, jako istotę żywą, zdolną do rozwoju form wyższych, a więc będące najwłaściwszem wyobrażeniem odradzającej się dokoła natury. Ten to punkt widzenia stał się najprawdopodobniej źródłem przesądu, rozpowszechnionego w Indjach, Indochinach i Indonezji, a znanego pod mianem transplantacji. Istotą jego było przeświadczenie, że na jajko, jako na istotę żywą, a tylko chwilowo uśpioną, można przenieść wszelkie zło, a już szczególnie chorobę trapiącą człowieka, czy też zwierzę. Dotknięte do chorego jajko odciągało jakgdyby od niego cierpienie, lecz samo stawało się wtedy nieczystem, wynoszono je więc czemprędzej z domu i zakopywano gdzieś na drodze, w najmniej uczęszczanem przez ludzi miejscu. Zabobon transplantacji znała prawdopodobnie Grecja, uczyniwszy z zakopywanych na drogach jaj ofiarę dla bogini Hekaty, czczonej właśnie na rozdrożach.



Tradycja pozostałych ludów europejskich nie znała jednak tego przesądu, występuje w niej natomiast wyraźnie wiara w ochronne znaczenie jajka. Słowianie np. wierzyli, że posiada ono własność odstraszania, a tem samem niedopuszczania do człowieka, zwierzęcia lub rośliny, wszelakich szkodliwych i niewidzialnych mocy, przedewszystkiem zaś t. zw. czarów. Dzisiaj jeszcze twierdzi lud białoruski, że dobrze jest owce wychodzące po raz pierwszy wiosną w pole, przegonić przez próg, pod którym położono jajko, zwierzęta stają się bowiem przez to roztropniejsze, nie błąkają się po siole, lecz wracają spokojnie do chaty, a złe oczy szkodzić im nie mogą. W mniemaniu tegoż ludu jajko potoczone przez gospodynię po czysto wymiecionej izbie, spełnia o wiele prozaiczniejszą rolę — chroni bowiem chatę od dokuczliwych pcheł. Ponieważ dotknięcie się, a nawet przebywanie w pobliżu zmarłego uważane było za coś bardzo niebezpiecznego i nieczystego, więc jajko weszło w skład obrzędów pogrzebowych jako ele-



ment oczyszczający i ochronny — spożywano je podczas stypy, kładziono umarłemu do trumny, malując je nieraz uprzednio na czerwono. Farbowanie więc jajek jest zwyczajem bardzo starożytnym, sięgającym czasów pogańskich —

Owiany tchnieniem budzącej się wiosny „biały dworek polski" w Dobrzanowie z pietyzmem konserwowany przez znaną autorkę licznych powieści dla młodzieży p. Marję Buyno-Arctową.

możemy przypuścić, że barwa czerwona miała, w wyobraźni ówczesnych ludzi, powiększać moc ochronną jajka i dlatego zaopatrywano w nie umarłych. Nie znamy natomiast pochodzenia zwyczaju farbowania jej wielkanocnych — wszystkie wyjaśnienia są jedynie legendami, powstałemi na tle tradycji chrześcijańskiej. Tak więc jedno podanie z X w. głosi, że gdy Marja Magdalena stała oniemiała z bólu nad grobem Chrystusa, ukazał jej się anioł i rzekł: „Nie płacz, Marjo, Chrystus zmartwychwstał", a gdy uszczęśliwiona Magdalena wróciła do domu, ujrzała wszystkie chowane jajka zabarwione na czerwono. Wzruszona rozdała je apostołom na pamiątkę, lecz one zamieniły się w ich rękach w ptaki i pofrunęły w przestworza.

Inne znów podanie mówi, że pisanki są zamienionemi w ozdobne jajka kamieniami, któremi ukamieniowano św. Szczepana. W końcu — według trzeciej legendy — malowanki powstały ze zwyczajnych jajek, które niósł w koszyku biedny człowiek na targ. Człowiek ten miał spotkać Pana Jezusa prowadzonego na śmierć i dźwigającego z trudem krzyż. Widząc to przystanął i pomógł Chrystusowi nieść narzędzie męki, a w nagrodę za to jego białe jajka zamieniły się w pisanki.



Wiemy, że jajka farbowane na Wielkanoc otrzymują swą nazwę w zależności od sposobu, w jaki są zdobione; tak więc rozróżniamy: malowanki, czyli jajka malowane, pisanki — jajka pokryte rysunkiem z wosku, a następnie gotowane w różnych barwnikach i skrobanki — jajka, których powierzchnię barwi się najpierw jednostajnie, a potem wyskrobuje na niej deseń. Pisanki są bardziej charakterystyczne dla wschodnich województw Polski, a barwy ich są znacznie żywsze i desenie bardziej urozmaicone, aniżeli t. zw. malowanek o barwach znacznie bledszych, a występujących raczej w zachodniej części naszego kraju.

Lecz jakakolwiek jest nazwa i dobór kolorów tych farbowanych jaj wielkanocnych, zwyczaj zdobienia ich jest do dnia dzisiejszego bardzo rozpowszechniony za-

równo po wsiach, jak i po miastach — malowanki, czy pisanki spotykamy w każdym nieomal, nawet najuboższym domu, w którym tradycja staropolska jeszcze nie zagasła. Farbowanemi, czasem i niezdobionemi jajkami obdarza lud księdza, gospodarze swych podwładnych, a sąsiedzi posyłają je sobie wzajemnie „na szczęście". Poświęcone jajka otacza się naturalnie zupełnie specjalnym szacunkiem, przechowuje się je długo w domu, a skorupki ich zakopują wieśniacy w polu i ogrodzie, aby pomagały roślinom w rośnięciu i dojrzewaniu i chroniły je przed klęską gradobicia, suszy lub powodzi.

Widzimy więc, że obrzędowe znaczenie naszego jajka wielkanocnego tkwi swemi początkami w odległych czasach pogańskich i z jednej strony przekazały nam je pogańskie, wiosenne uczty ku czci zmarłych, gdzie jajko występowało jako element ochronny i oczyszczający, uczty, będące częścią składową t. zw. wiosennych zaduszek, obchodzonych przez pogańską słowiańszczyznę mniej więcej w porze naszej Wielkanocy, z drugiej zaś strony było ono z dawien dawna godłem odradzającej się wiosną przyrody, budzącej się z mroku i letargu zimowego do życia, światła i czynu.

Świat chrześcijański rozszerzył symbolikę jajka do dziedziny duchowej, uważając je za wyobrażenie ukrytych w człowieku sił, za symbol Odrodzenia i Zmartwychwstania.

M. W.

COŚ DLA PAŃ

W OBRONIE ŻON Z LASU

(Zamiast feljetonu świątecznego).

Zastrzegam z góry, nie jestem „mecenasem Bolbec" ani innym adwokatem w spódnicy, a choć szanuję prawo i uwielbiam sprawiedliwość, nie mam nic wspólnego z królestwem Temidy.

Jeżeli występuję w obronie kobiet, a zwłaszcza żon z lasu, czynię to: 1) z własnego głębokiego przekonania; 2) przez solidarność z pokrzywdzonemi srodze współobywatelkami lasu; 3) z... oburzenia na p. inżyniera N., którego z przyjemnością nadziałabym na ostre pióro i utopiłabym w atramencie za to, że tak okrutnie potępia rodzaj żeński w ogólności, a żony z lasu w szczególności.

„Kobiety są puste, lekkomyślne, płytkie" — czytając te słowa można dostać nie tylko palpitacji serca i trzy razy zemdleć, ale można wściec się z oburzenia.

„Ta zniewaga krwi wymaga!" i nie powinna być odpuszczona p. inżynierowi N. ani w tem, ani w przyszłem życiu.

Gotowa jestem udać się z delegacją do św. Piotra, aby przed naszym oskarżycielem zamknął bramy nieba. (Zresztą kobiety-niebianki, solidaryzując się z nami, zbojkotowałyby Go i wyrzuciły z nieba tam, gdzie jest „płacz i zgrzytanie zębów").

Gdybym dostała w tej chwili do ręki fotografję p. inżyniera N., powtarzając z rozkoszą:

„Zemsta, zemsta, zemsta na wroga
z Bogiem i choćby mimo Boga..."

wykłółabym Mu szpilką oczy, namalowałabym wąsy, (o ile ich nie posiada) przyprawiłabym brodę i tępym gwoździem przybiłabym do ściany.

Niestety... nie posiadam ani żywego objektu, ani nawet znikomej odbitki naszego przeciwnika, i moja zemsta wobec oddalonego, niewidzialnego wroga jest tak bezsilna, jak — Liga Narodów wobec wojny japońsko-chińskiej. Nie chcąc wchodzić w kolizję z 16 paktem tej zacnej instytucji, wolę nie wypowiadać oficjalnej wojny p. inżynierowi N. i powierzam moją vendettę miłym czytelniczkom „Ech Leśnych", które pana N. znają osobiście i które, ujmując się za krzywdą żon z lasu, odpowiednio się z Nim rozprawię (zastrzegam tylko: nie wolno używać łodzi podwodnych, bomb, gazów trujących, tanków przez solidarność z francuskim projektem rozbrojeniowym).

Kim jest ów okrutny człowiek, który rzuca na nas kamieniem potępienia? Wytężam całą moc mojej bujnej fantazji, aby Go sobie wyobrazić. Stanowczo pan N. musi być podobny do Heroda, (ze względu na rzeź niewiniątek), albo conajmniej do Sinobrodego.

Chcąc ujrzeć chociaż jego zjawę astralną, (podobno w taką zjawę można wbić szpilkę), uciekłam się do pomocy stukającego, cudownego stolika, lecz ku mej wielkiej żałości — eksperyment nie udał się, i pan inżynier N. pozostał dla mnie niemniejszą tajemnicą, jak kradzież klejnotów pani Ciunkiewiczowej. Wiem tylko tyle, — że się tajemniczo uśmiecha i że jest stuprocentowym antyfeministą.

Kto mówi: „Kobiety są puste, lekkomyślne i płytkie" ten albo wcale nie zna kobiet, albo — za bardzo dały mu się we znaki.

Wprawdzie i Mickiewicz powiedział: „Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto!"... — ale ten sam Mickiewicz stworzył postać bohaterskiej Grażyny, wiernej do ostatniego tchnienia Aldony, wreszcie dał nam uroczą Zosię, wyposażoną w pełnię cnót niewieścich.

Jeżeli Mickiewicz nazwał kobietę „puchem marnym" i „wietrzną istotą", to powodem tego była beznadziejna miłość ku Maryli, może więc i pan inżynier N. z powodu Maryli, czy innej Beatryczy zaczął patrzeć na płeć piękną przez czarne szkiełka.

Zresztą co tu dużo mówić. Znane jest to przysłowiowe zrzędzenie i narzekanie mężczyzn na kobiety, ale najwięcej racji miał ten, co powiedział: „Z kobietami źle, bez kobiet jeszcze gorzej".

Ciekawa jestem, coby to było, gdyby te „puste, lekkomyślne i płoche" istoty zniknęły z powierzchni ziemi. Napewnoby „płeć brzydka "nie mogła długo wytrzymać w tym raju bez kobiet i słałaby delegacje do Pana Boga, aby powtórzył eksperyment z żebrem.

Jak da się pogodzić opinja pana N. o kobietach z tem np. powiedzeniem: „Kobieta to anioł, który życie w raj zamienia"? Nie przeczę, że wśród tych aniołów są i takie, co mają rogi, — ale czyż nie więcej jest „aniołków z rogami" wśród mężczyzn? I jeżeli nieraz kobieta zamienia mężczyźnie życie nie w raj, lecz w piekło, to najczęściej on sam jest temu winien.

Chociaż pan N. twierdzi, że „najwięcej nieszczęśliwych i opuszczonych małżonków znaleźć można wśród leśników", że „niech się tylko który ożeni z miejską panną, z pewnością po roku zacznie pisać poezje pełne zwątpienia" — stanowczo temu zaprzeczam.

Znam wiele żon z miasta i małżeństw leśnych i z całem przekonaniem twierdzę, że właśnie najwięcej szczęśliwych małżeństw znaleźć można w „leśnej samotni", gdzie ludzie leśni, żyją zdala od pokus wielkiego miasta, przywiązują się do siebie, mogą się lepiej zrozumieć, pędzą żywot zgodnie, bogobojnie, gruchają sobie jak gołąbki, przysparzając Ojczyźnie obywateli.

Słyszałam wprawdzie o dwóch małżeństwach wśród leśniczych naprawdę nieszczęśliwych, niestety, winę ponosili „oni" nie „one". Jeżeli mąż traktuje żonę gorzej niż służącą, jeżeli obchodzi się z nią brutalnie, hołdując zasadzie: „gdy chłop baby nie bije, to jej wątroba gnije", nie dziwiłabym się wcale, gdyby taka żona pewnego pięknego poranka uciekła do miasta, mówiąc do męża na pożegnanie: „pisz do mnie na Berdyczów!"

Obok bardzo licznych idealnych mężów leśnych, są i tacy (na szczęście nieliczni), którzy po całodziennej pracy w



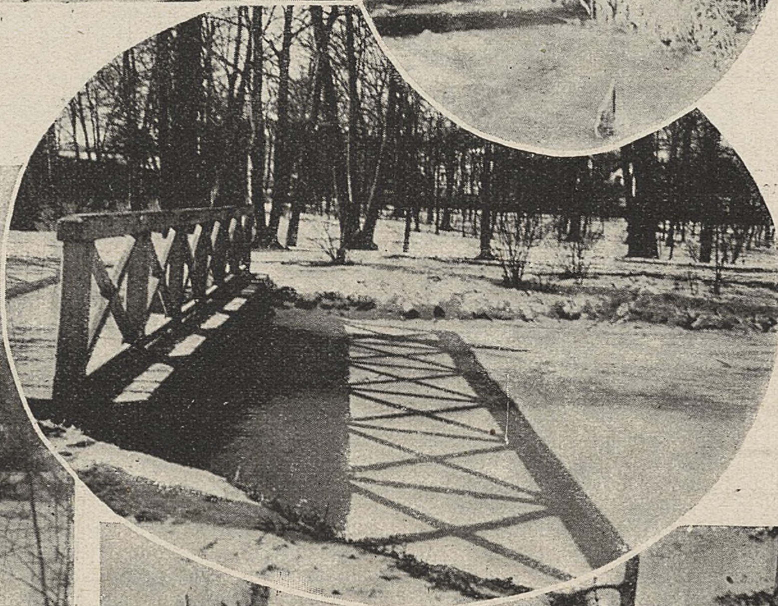
W PARKACH STOLICY

Fot. St. Błonarowicz.





Kilka fragmentów słonecznego krajobrazu zimowego w Łazienkach królewskich i w parku Traugutta.









biurze, lub w lesie przychodzą do domu po to, aby się najeść i włożyć nos w gazetę; są i tacy, którzy w wolnym od pracy czasie, poświęcają się nie żonie i rodzinie, ale partyjkom bridża i polowaniu; są wreszcie i tacy, którzy zamiast pilnować żony, szukają szczęścia gdzieindziej. Nic dziwnego, że opuszczona, nieszczęśliwa żona, skoro znajdzie kogoś, kto jej współczuje i zainteresuje się nią, zostawia niedobrego męża i idzie za głosem serca. Wtedy zdradzony mąż, jak prorok Jeremiasz na gruzach Jerozolimy, siada na gruzach własnego szczęścia, nastraja lutnię na ton tragiczno-bolesny i pisze: „Pustki", „Samotnie", „Żale", „Rozstania" i „Zwątpienia".

Co do „Zwątpienia" — to w dzisiejszych czasach: stagnacji, plajty, licytacji, redukcji, likwidacji każdy z nas mógłby stać się poetą — zwątpienia.

A na temat: „Żale", „Pustka", „Samotnia" piszą nietylko opuszczeni mężowie, ale i ci leśnicy, którzy w „leśnej samotni" tęsknią za ukochaną kobietą, za towarzyszką życia, którąby ożywiła pustkę i słońcem swych uśmiechów, blaskiem swych dobrych, kochających oczu rozjaśniła mroczne ściany, wzniosła w nie radość i szczęście. A że te tęsknoty wypowiadają się w smutnej formie, to przecież zrozumiałe.

Piękno otaczającej przyrody smutnie działa na leśnego człowieka-marzyciela i samotnika.

Słowacki, podziwiając w Szwajcarji cudowną panoramę Alp, pisał w jednym ze swych listów:... „tu trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać..." To też i leśnik dopiero wtedy, gdy zamieszka w pięknej leśnej ustroni z umiłowaną sylfidą, nastraja lutnię na ton radosny.

Pani Janina Rosnowska dziwi się, dlaczego ludzie leśni tak wiele piszą wierszy, „przecież zawód leśnika pochłania tyle czasu, że niewiele go zostaje dla rodziny, cóż dopiero dla sztuki". Co z człowieka czyni poetę, — jak nie piękno przyrody, co jest źródłem natchnienia — jak nie potężny, szumiący, majestatyczny w swej krasie las, — ta przebogata, wiecznie żywa księga tajemnic przyrody, w której każde drzewo, każdy krzew jest przedziwną literą, — ta zielonostruna harfa, gdzie każda wysmukła sosenka, czy brzoza jest struną cudowną, na której wiatr, mistrz niezrównany, wygrywa przepiękne pieśni i poematy.

Każdy człowiek, chociażby najbardziej prozaiczny, obcując z przyrodą, wczuwając się w jej piękno, może stać się poetą.

A ponieważ poezja jest potrzebą duszy, znajdzie się zawsze dla niej choć znikoma chwilka czasu.

A więc „ci sentymentalni poeci" to nietylko zdradzeni i opuszczeni mężowie, którzy pożenili się z miejskiemi pannami.

Cóż to za bestje apokaliptyczne te miejskie panny, które według mniemania p. inżyniera N. unieszczęśliwiają biednych mężów leśników?

Przyznać trzeba, że dzisiejsza miejska panna zamiast złożyć buzię w ciup i ręce w małżyk, pali papierosy, „foxtroci" i „rumbi" na dancingowych posadzkach; nietylko nie boi się myszy, ale nie ulęknie się krokodyla, a zamiast trzymać się spódnicy mamy, czy cioci-przyzwoitki, idzie przebojem przez życie, z iście męską energją pokonywując przeszkody. Te wszystkie wyczyny nie przeszkadzają „chłopczycy" być dobrą żoną, matką i gospodynią w leśnej samotni", a hodowli kur, gęsi, czy warzyw oddaje się ona z niemniejszym zapałem, niż pisaniu na maszynie, czy „rumbieniu" na dancingu.

Zresztą las i przyroda mają taki dodatni wpływ na duszę i na charakter człowieka, że gdyby grzesznica Fryne wyszła zamąż za leśnika, ręczę, że przeistoczyłaby się w cnotliwą i wierną Penelopę.

Znam pewną urzędniczkę biurową, urodzoną i wychowaną w mieście, która jest żoną leśnika, i nietylko po roku małżeństwa „nie zwiała" do miasta, ale słynie w okolicy jako wzorowa żona i wzorowa gospodyni. Oddaje się całą duszą gospodarstwu i kocha bezpamiętnie swego wąsatego „Dzidziusia".

Ciekawa jestem, czy jej mąż pisał kiedy poezje na temat: „Zwątpienie"? Ja również jestem panną z miasta i żoną z lasu. Wychowywałam się w mieście, byłam kilka lat na studjach w Warszawie, potem, jako nauczycielka gimnazjum, pracowałam również w mieście. Korzystałam w pełni z godziwych rozrywek wielkomiejskich. Uwielbiałam teatr, chodziłam na dancingi, byłam „zwarjowaną" kinomanką; ponieważ szkołę, w której pracowałam, zlikwidowano, a w tych ciężkich czasach „łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne" aniżeli... — żonie urzędnika państwowego dostać posadę, więc siedzę na głuchej wsi i bynajmniej nie czuję się rozczarowana.

Lubię obcować z przyrodą, kocham las, i nie tęsknię za przyjemnościami miasta. Uważam, że życie leśne ma tyle uroku i dostarcza tylu miłych wrażeń, że można się doskonale zaklimatyzować w „leśnej samotni".

Czyż nie przyjemniej podczas polowania, (oczywiście rola moja ogranicza się dotychczas na strzelaniu okiem i posypywaniu zającom soli na ogonek, ale mam nadzieję, że niedługo będę strzelać z prawdziwej dubeltówki), skakać po kępach i rowach, niż tańczyć fox-trotta? Czyż nie zdrowiej oddychać aromatycznem powietrzem lasu, niż zadymionem powietrzem dancingowych sal? Czyż nie piękniej grają trąbki i huczą strzały, niż murzyńskie saksofony? A szept sosen i ośnieżonych świerków czyż nie słodszy, aniżeli szept zblazowanych adoratorów?

I szczęśliwą czuję się w samotni leśnej, zresztą z człowiekiem kochanym kobiecie jest wszędzie dobrze: zarówno na pustynnej Saharze, jak na szczycie Himalajów, czy nawet na — księżycu.

Choć dawno minął rok od chwili naszego ślubu, ani mi się śni uciekać od męża, a mojemu mężowi ani się śni pisanie wierszy na temat: „Zwątpienie".

Co do prozaicznej pracy w gospodarstwie — przyznać muszę, że nie jest z tą pracą tak tragicznie, jakby się zdawało.

Pamiętam, że przed zamążpójściem nie miałam pojęcia naprzykład o cerowaniu skarpetek i o gotowaniu. Gdyby mi kazano zdawać egzamin z głównych zasad sztuki kulinarnej, dostałabym „oblewaną dwóję" z minusem.

Napewno do śmietankowego kremu wsypałabym pieprzu i włożyła bobkowych liści, a do rosołu — wanilji i pomarańczowej skórki.

Umiejętność upieczenia placka z rodzynkami, wydała mi się tak niedościgłą, jak podróż w stratosferę, a zawikłane prawidła konjugacji greckiej i filozofja Kanta, czy Hoene-Wrońskiego była niczem w porównaniu z filozofją upieczenia pasztetu z zająca.

Jednak przy dobrych chęciach zgłębiłam najważniejsze arkana sztuki kulinarnej i potrafię przez żołądek znaleźć drogę do serca męża.

Pamiętam, gdy w kilka dni po ślubie podałam mężowi pierwszy przygotowany przeze mnie obiad — szedł do stołu, jak skazaniec na gilotynę, pytał się, w ile godzin po tym obiedzie trzeba umierać, wreszcie polecając ducha (a właściwie żołądek) Bogu, zabrał się do jedzenia zupy, której każdą łyżkę połykał z tak tragiczną miną, jakby to była cykuta, albo cjanek potasu. Po kilku godzinach, gdy skonstatował, że nie umiera — powiedział do mnie w sekrecie: „Wiesz, obiad był niczego, a nawet, prawdę mówiąc, bardzo mi smakował". I nie było nigdy scen małżeńskich z powodu przypalonych kotletów, albo rzutu dyskiem w postaci talerza z powodu niedosmażonego omletu.

Mam nadzieję, że po 5-ciu latach gospodarowania na wsi — będą mogła napisać doktorską rozprawę na temat: „Nieśność kur", lub „Hodowla trzody chlewnej". I w tem jest dużo poezji, a nawet filozofji!

Nie, ja stanowczo nigdy nie ucieknę do miasta!...

Tak dużo, dużo napisałam w obronie żon z lasu i pisałabym bez końca, ale przyszło mi na myśl, — że może moja bazgranina — to „wiele hałasu o nic", bo pan inżynier N. po przeczytaniu jej — tajemniczo się uśmiechnie i powie, „Uciszcie się i nie przejmujcie się, niewiasty, albowiem zaprawdę oznajmiam wam, że to, co powiedziałem o was, jest tylko niewinnym żartem" (co daj, Boże, Amen).

A jeżeli tak nie powie, sądzę, że trzeba będzie wypowiedzieć p. inżynierowi N. oficjalną wojnę — zanim Liga Narodów ogłosi — powszechne rozbrojenie.

Halina Kluge-Zięciakowa.

JESZCZE O „ŻONACH W LESIE"

Inż. N. jest oburzony! Oburzony i niezrozumiany. Kobiece wywiady są podobno złośliwe i sięgają zbyt głęboko.

Inż. N. twierdząc, że kobiety są lekkomyślne i płytkie myślał tylko niewinnie, że są płoche, a że właściwe określenie przyszło mu do głowy dopiero w kilka tygodni po owej pamiętnej rozmowie, (a może podczas rozmowy zmienił zasadniczo poglądy?... tego nie będę tutaj dociekać), to trudno.

Dość, że Inż. N. nie jest wcale zdecydowanym wrogiem kobiet, jakby się mogło wydawać na podstawie niefortunnego „wywiadu", przeciwnie, uważa, że wśród panien zdarza się często najlepszy materjał na żony, a ponieważ sam jest kawalerem, należy przypuszczać, że będzie w przyszłości wzorem męża.

Inż. N. nie może jednak darować pani Zięciakowej jej dowcipnego i zgryźliwego listu. Żeby tępem narzędziem mierzyć w uczciwego człowieka za to, że nie dość jasno wyraził się o kobietach?! Tego szanujący się mężczyzna nie może przeboleć. Ponieważ pani Z. mieszka za daleko i pan Inż. N. nie może jej okazać osobiście swego szczerego oburzenia, cały żal i gorycz przelewa na, Bogu ducha winną, niżej podpisaną. To też pozwalam sobie zwrócić się do Was, miłe Korespondentki, z uprzejmą prośbą: nie znęcajcie się więcej nad Inż. N., bo wszystkie konsekwencje tego znęcania się muszę ponosić zupełnie niewinnie. *Janina Rosnowska.*



Ostep w Puszczy Rudnickiej Fot. W. Korsak

PRZEDWIOŚNIE

Jeszcze po lodzie chodzą wrony
i jeszcze długo, długo, długo
widnokrąg, bielą oszroniony,
nie będzie wiosny drżał szarugą.
Ale już ciągną z pól oddechy
przestronne, w nagłych z nieba żarach.
i wykwitają, jak uśmiechy,
zwierciadła wody na moczarach.
Blask od nich idzie w dzień — a nocą
znów się ścinają w mleczne szyby.
Miejscami wierzby się już kocą
i wątłe bazie mają niby.
Lecz wiosna jeszcze jest daleko,
daleko gdzieś, za błękitami,
tam, gdzie za skrzących mórz powieką
złotemi słońce płacze łzami.
W nieobudzonem drzemie echu —
i tak jest do jej ukazania,
jak od pierwszego półuśmiechu
do bujnych szałów miłowania.

Przed oknem skromnej mej kwatery
jest cisza. Czasem krzykną warty,
lub nagle obok: — Piki cztery!
oficer palnie rżnący w karty.
I nic pozatem...
Gdzieś zdaleka
rżą w szwadronowych stajniach konie.
Wschodzący księżyc się obleka
chmurkami w jasnym nieboskłonie.
I tak upływa życie.

Rano

i godzin cztery po obiedzie
ćwiczono, komenderowano...
...Czasami drogą wóz przejedzie.
Ruch mały, bośmy teraz w poście;
gwar bywa tylko w czas niedzielny.
Bywało huczniej, gdy na moście
turkotał wozów ciąg weselny.
Od ucha wiejska gra kapela:
bas dudni i rzępolą smyki,
a bęben tętnom współudziela
tej uporczywej rytm muzyki.
Przenikający aż w głąb duszy
rytm rodził słowa, treść poddawał:
to ścigłym rymem się napuszy,
to asonansów ciśnie nawał.
Miało to wdzięk swój w tym zaświecie,
że zzewnątrz tak przychodził temat
i mimowolnie się zaplecie
w niedbałą piosnkę lub poemat.
Ale już teraz — ani mowy,
by brać się tak do notowania,
bo, jakby dzwonek kryształowy,
coś w głębi duszy się rozdzwania.
Ma rytm dobitny, jasny, czysty,
nie narzucony przez nikogo,
i — nim w wymowie potoczystej
odejdzie kiedyś własną drogą —
na ustach mych się pieczęć kładzie...
...Lecz pryśnie — wiem to — gdy urośnie
ten kwiat wiśniowy, który w sadzie
uśpionym — jeszcze śni o wiośnie.

ANTONI BOGUSŁAWSKI.



Antoni Bogusławski

WIECZÓR AUTORSKI A BOGUSŁAWSKIEGO

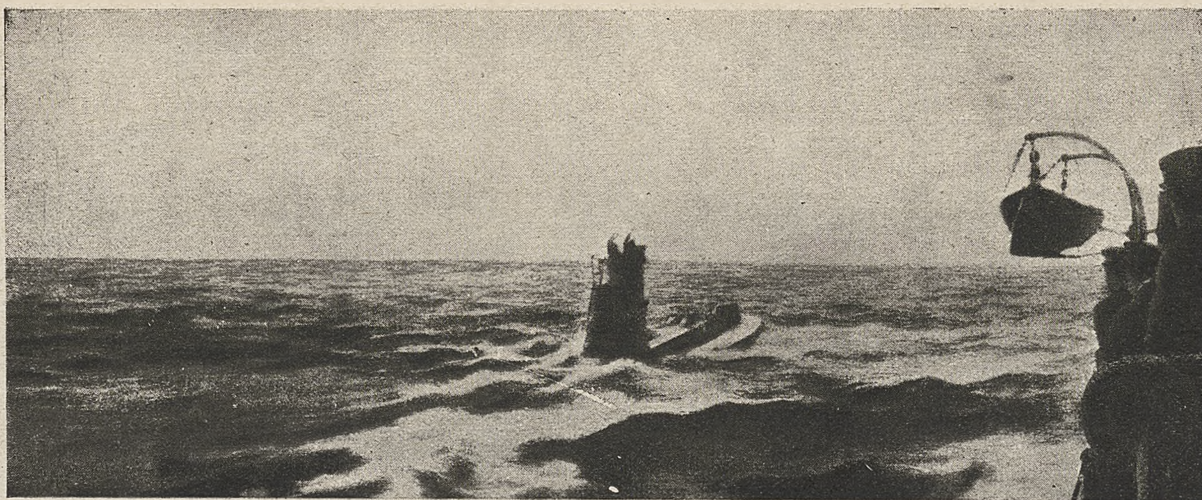
Dnia 20 b. m. w siedzibie Towarzystwa Literatów i Dzienikarzy w Warszawie odbył się wieczór autorski znanego poety Antoniego Bogusławskiego.

Bogusławski pisze „to, co czuje i tak, jak czuje". Rozległa skala talentu poety znalazła wyraz nietylko w bogactwie formy, ale i w cechującej jego twórczość wielkiej różnorodności motywów poetyckich. Melodja poety, czy to w utworach narodowych, czy w epice, lub pieśni żołnierskiej, dźwięczy jednakowo czysto i pięknie. Szczególnie ciepłą nutę mają w sobie jego utwory dla dzieci.

Z dotychczasowego plonu pracy Bogusławskiego ukazały się w druku zbiory p. t. „Honor i Ojczyzna", „Dwór", „Zwierciadełko" (nakł. Hesicka); „Na biwaku", „Kolendy Żołnierskie", „Czytanki Żołnierskie" (nakł. Wojsk. Instyt. Wydawn.); „O rycerzu Okruszyncе" (Hesick); „Zajączki", „Różne powiastki", „Żywe literki" (nakł. Gebethner i Wolf); poemat Śmierć Smail — Agł. Czengicza (tłom.); „Kaczorek Kwaczorek", (Płomyczek) i wiele innych.

Wierszem wyżej zamieszczonym, poeta rozpoczął wieczór autorski.

Ich.



ZWYCIĘSKIE BITWY POD POLSKĄ BANDERĄ

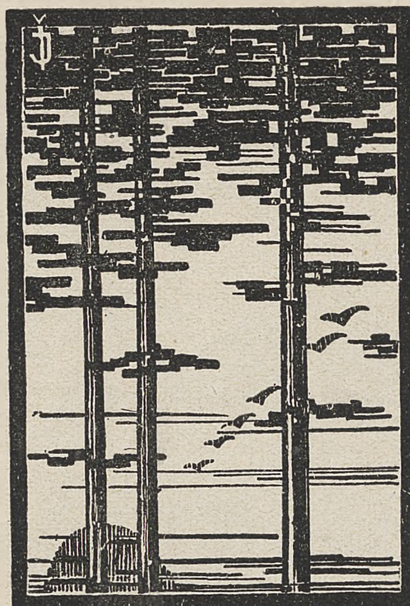
Historja dominium maris, dzieje „własności morza" mają w Polsce przedrozbiorowej, wcale nie tak krótką kartę wspominków i przygód, jak sobie wyobrażają patrjoci z bożej łaski, zaczynający swe wiadomości od Gdańska, „który zawsze wszystkiemu złemu był winien", i kończący swe opowieści na świetnem zwycięstwie pod Oliwą słowami pamiątkowemi: — „a było to 28 listopada 1627 roku".

Przedziwny wodowstręt, jaki przejmował waćpanów senatorów na wspomnienie morza, znajduje swoje usprawiedliwienie w narodzie hreczkosiejów, pchających się ufnie z szablą i pługiem na wschód, na Moskwę, gdzie czuło się przynajmniej ziemię pod nogami. Bałtyk, którego nie oglądał w życiu niejeden „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie", nie wychował zastępu ‚wilków morskich" w Polsce, gdzie koroniarze niby „szczury lądowe" siedzieli sobie na Mazowszu, nierzadko w kurnych chatach, a jednak, jak u Boga za piecem. Stąd zaplecze kraju wyodrębniło swą rasę myślenia od polityki ludzi o głowę górujących nad zbyt przyziemnemi sprawami państwa i ogarniających morze spojrzeniem szerokiem. Byli oni pozostawieni sobie, — tem większa ich zasługa. Pracowali dla Polskiego Morza, prawie sami, pokonywując nie tylko wrogie siły obce ale i bierny opór w własnym kraju, — tem większe ich bohaterstwo. Dziś kiedy nareszcie wszystko się zmieniło, trzeba jednak pamiętać, że pionierzy „dominium maris" nie tylko siłowali się stale za bary z kupieckim Gdańskiem i nie tylko raz zwyciężyli, — wtedy w 1627 r. ze Szwedami.

I posłów miała Polska więcej i więcej wygrała bitew.

Zgruntowane przez pierwszych Piastów wybrzeże morskie, wstęgą piaszczystą rozbijało pole Bałtyku od ujścia Odry do Wisły. Leżały na nim grody warowne i legowiska okrętów: Wolin, Kamień, Kołobrzeg, lutyckie podgrodzia zachodnie: Wołogoszcz, Dymin, Chozegowo, Uznoim, a w samem centrum szańca wybrzeżnego, Szczecin średniowieczny, który już wtedy skupiał okazałą na owe czasy liczbę mieszkańców, 5 — 9 tysięcy, i jak sławili go kronikarze św. Ottona, apostoła Pomorza, — „rozsiadł się na wielkiej przestrzeni, posiadał wewnątrz chwalebne zaułki, dzielnice (vici) i ulice stołeczne (plateae)". Te czasy zamierzchłej pamięci zatarły swoje kształty i echa. Opromienia je jednak pewien rozgłos morskiej rozprawy, a mianowicie, pierwszej zwycięskiej bitwy floty polskiej około wyspy Rugji, w której Bolesław III złamał na zawsze znaczenie Rugijczyków na Bałtyku.

Polska Jagiellonów przeniosła teraz swe „dominium maris" na wschodnie wybrzeża. Przestrzeń stracona na zachodzie miała już nigdy nie wrócić. Zato nowa połać zatok, piasków i skalisk sięgała od jeziora Łebskiego, aż do Zatoki Fińskiej. Były to znów lata rozkwitu Elbląga, kupieckiego portu, który zajął znaczenie pobliskiego Truso, przy ujściu rzeki Nogatu, u prawego ramienia Wisły. Długotrwałe zmagania się z Krzyżakami wymierzyły im wreszcie cios ostateczny z ramienia Kazimierza Jagiellończyka, rzecz dziwna, przy pomocy Gdańska, który wystawił królowi flotę i tę flotą pokonał sprzymierzoną z Krzyżakami armadę wodną Danji oraz Zakonu Inflanckiego, w bitwie koło wyspy Bornholmu w 1457. Nie był to czyn odosobniony. W 1463 r. Krzyżacy ponoszą nową klęskę morską około Elbląga, jak w rok potem około Gdańska i w r. 1525 około Kłajpedy, gdy sprzymierzeńcem ich byli — Niemcy. A zatem cztery polskie bitwy — wygrane. Morze Bałtyckie stanęło otworem dla realnej polityki morskiej Zygmunta Augusta, zdobywcy Inflant, twórcy Komisji Morskiej, mającej za zadanie budowanie okrętów wojennych w Elblągu pod kierownictwem inżynierów włoskich. Niestety, tylko z nich jeden, pierwszy i ostatni, został wykończony w dn. 14 czerwca 1571 — „Smok". Wielkie plany stworzenia własnej floty królewskiej, rozwiały się z chwilą śmierci wielkiego króla w 1572 r.



Te same Inflaty, które przyległy do bandery polskiej, ręki w miecz uzbrojonej, — pod panowaniem Wazów rozpętały na przeciąg dwuch stuleci skomplikowaną burzę wśród mocarstw nadbałtyckich i związały Polskę w oplątany węzeł wojen północnych z Rosją, Danją i Szwecją. Na ten to właśnie czasokres przypadają trzy walne zwycięstwa floty polskiej nad Szwecją w 1609 pod Gdańskiem, w 1627 r. pamiętna bitwa pod Oliwą i znów pod Gdańskiem w 1629 r.

Zwycięstwa te miały wielkie znaczenie moralne, stabilizowały banderę polską na bałtyckich wodach i przyniosły marynarce wojennej najpiękniejsze laury historji.

Było to jednak wszystko.

Wystarczył jeden Wismar, aby z tej floty nie zostało śladu. Zygmunt III dał się wciągnąć Ferdynandowi III w katastrofalny eksperyment. Pożyczył mu swe okręty. W 1632 r. po zdobyciu Wismaru w Meklemburgji przez Szwedów, wpadły one w ręce tych, których dotąd zwyciężały.

Andrzej Kaznowski.

FRAGMENT Z WALK W MANDŻURJI

Gaolan zcicha szumiał, poruszany łagodnym podmuchem wiatru w księżycową noc jesienną.

Patrol, złożony z trzech żołnierzy i podoficera zaległ na skraju pola gaolanowego, łowiąc uchem każdy szmer, każdy dźwięk z oddali, mogący się wydać podejrzanym.

Podoficer Czang, student z wyższej uczelni chińskiej, przywdział mundur żołnierski, wtedy, gdy zwycięskie wojska japońskie mierzyły krokiem miarowym rozległe przestrzenie Mandżurji. Dowódca wytężał wzrok, przebiegł nim półkole horyzontu nocnego i nie napotkawszy nic godnego uwagi, zagłębił się w rozmyślaniach na temat tego, co się działo w jego ojczyźnie. Żołnierze leżeli obok, rzucając z nudów półgłosem odrywane, nic nie znaczące słowa. Tymczasem blada tarcza księżyca zwolna minęła zarośla krzaków tarniny, musnęła cieniem pobliski wąwóz wypłynęła, jak zjawa, na pochyłe — typowe mandżurskie wzgórze i zanurzyła się w ciemnych nurtach rzeki Nonni. Nic dotąd nie zmąciło ciszy nocnej. Zdawało się napozór, że wojny tutaj niema żadnej.

*

* *

Patrol miał zadanie obserwować ruchy nieprzyjaciela, który, jak przypuszczł sztab chiński, tej nocy miał się przeprawić przez rzekę.

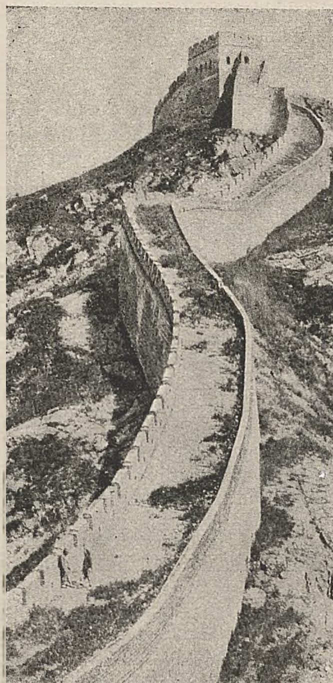
Japończyków jednak nigdzie dotąd nie było widać. Czang, leżąc wygodnie w gaolanie, począł rozmyślać, nad tem, w jaki by sposób zażegnać zbrojny spór, wynikły pomiędzy dwoma sąsiedniemi narodami. Jako człowiek inteligentny rozumiał dobrze, że Japończykom jest ciasno u siebie, że naród ten musi szukać nowych terenów, że tylko Mandżurja, rzadko dotychczas zaludniona, może stać się tym terenem. Z drugiej znowóż strony wiedział dobrze, że oddanie tego kraju Japończykom jest pierwszym rozdziałem Chin, za którym wkrótce może nastąpić drugi, a potem trzeci i ostatni, a więc początek i koniec niepodległości państwa. Jako dobry patrjota, łamał głowę nad tą sprawą, pocierał rozpalone czoło, bowiem problemat rzeczywiście trudny był do rozwiązania

Mijały godziny, a obojętny na niedolę ludzką księżyc już dawno przepłynął rzekę i powędrował dalej, ponad wzgórza i doliny w świat nieznany.

*

* *

Gaolan zcicha szumiał, nucąc pieśń pełną bólu serdecznego na obfite żniwo śmierci na polach mandżurskich. Tony rzewne tej skargi obijały się o zmęczony mózg studenta, jak echo dalekie, i kołysały do snu wrażliwą i zbolałą jego duszę.



Księżyc już zniknął; zciemniał fiolet nieba; zbladły twarzyczki gwiazd; mrok, co otaczał ziemię, nie chciał jej tulić więcej i skrzydła swe już począł szykować do lotu. Świt był bliski.

Pierwszy ocknął się Czang, rzucił okiem w stronę rzeki i... struchlał. Na rzece był ruch. Japończycy przerzucili most pontonowy, przez który przeprawiać się poczęła ich piechota. Jak gdyby piorun w niego uderzył. Zerwał się na równe nogi, potem ukląkł i rzucił cichy, lecz stanowczy rozkaz „ognią!" Jedna salwa po drugiej rwały ciszę na strzępy i echem grzmotów odzywały się w pobliskich wzgórzach. Taka niespodzianka sprawiła popłoch w szeregach nieprzyjaciela. Oddział, który już się przeprawił na tę stronę, zaległ i począł odpowiadać na ogień. Czang i jego żołnierze strzelali bez przerwy.

Już ich naboje były na wyczerpaniu, pozostawały tylko ręczne granaty.

Wtem ponad ich głowami przeleciał pocisk armatni i wpadł do rzeki niedaleko mostu. Zagrała artylerja chińska.

Czang odetchnął z ulgą. Lecz była to tylko chwila, bowiem wnet ujrzał błysk bagnetów tyraljery japońskiej! Ładownice były już puste. Dowódca ogarnął wzrokiem swych ludzi, którzy zrozumieli ten wzrok jego, i ruszył do ataku. Przez moment dał się słyszeć tylko szczęk stali o stal i... wszystko naraz ucichło.

*

* *

Gaolan cicho szumiał, a po ziemi, u stóp jego łodyg, tu i owdzie, sączyła się ciepła jeszcze krew ludzka.

B. Zarzycki.

SEN SABY

Staś Tarkowski i Nel na Podolu
żyli w dworku w szepcie szumnych gruszy,
w takcie cichych, cichutkich bemolów,
w drugim tomie „Pustyni i puszczy".

Kiedy wieczór lśnił w liściach kasztanów,
i w świat płynął żałobny puch ostów,
słuchał Saba piasków Assuanu,
gdy pustynia śpiewała mu do snu.

Ojciec Stasia w pluszowym fotelu,
palił fajkę przed ciepłym kominkiem,
gdzieś nad ziemią szedł książyc bez celu,
a Nel ciągle tęskniła za Kingiem.

Jeno dzisiaj w jesienną godzinę,
wiatr z wronami się w sadach zagadał,
— przed dwór w głośną ubrana leszczynę,
— przed dwór czarna zjechała parada!

Srebrne pany, husarne, milczące,
nieśli serca z jarzębin korali,
W szklanych oczach stopiły się słowa,
smutno dzwony zagrały na licach,
Staś i Nela wpatrzyli się w słońce,
zachodzące na zbrojach ze stali.

kołysała się trumna dębowa,
na ramionach Andrzeja Kmicica...

— Cemu-ć panie Zagłobo tak luto,
fularowej nie szczędzisz łzom chustki?
— Czemu ręce twe łzami osuto,
twarde ręce Imć panie Skrzetuski?

We mgle płynął tłum w białym rozpyle,
wieńce, wstęgi, delije i świtki,
w Neli szarym ogródku, na chwilę,
zakwitł w listkach liljowy cień Litki.

Nieśli trumnę, szarzącą szarugą,
na pachnące jaśminem pól krańce,
wierzby za nią szły jedna za drugą
rozmodlonym, zielonym różańcem...

Brzozy gasły. Przysłonił świat welon.
Rechotanie ozwało się żabie.
Dworek zginął i Staś razem z Nelą.
— — — — — — —
Tak się tylko przyśniło raz Sabie.)*

JANUSZ STĘPOWSKI

*) Saba ulubiony pies bohaterów „Pustyni i puszczy" Stasia Tarkowskiego i Nel Rawlison.

SCENA i ŻYCIE

Teatr Instytutu Reduty. — „Sprawa Moniki". — Sztuka Marji Morozowicz-Szczepkowskiej.

Po dłuższem milczeniu znów nareszcie teatr Reduta — dziecko Juljusza Osterwy — ukazuje stolicy swe zadumane oblicze. Może dobrze się stało, że tym razem tylko wybranej i szczupłej widowni, gdyż fakt ten pogłębia nastrój; może źle — bo jakiż jest probież selekcji? Szczęściem kursują pogłoski, że „Sprawa Moniki" przejdzie na deski jednego z teatrów znajdujących się w zarządzie dyr. Krzywoszewskiego. I nie dlatego projektowi takiemu należy przyklasnąć, żeby sama sztuka p. M. Morozowicz-Szczepkowskiej była czemś rewelacyjnem, lecz dlatego, że narodziła się ona i dojrzała poniekąd pod auspicjami Reduty. Istotnie, ten skromny, a wiele już dziś mówiący szyldzik „Reduta" — wnosi coś więcej na scenę niż zwykią reżyserję. Wnosi zdecydowaną wysoką klasę gry, styl i pietyzm dla ducha tego rodzaju twórczości, który pragnie wyrazić się w djalogu. W takiem ujęciu nawet pewna monotonja, nawet przesadna tendencja djalogu, nie razi, lecz skłania, do refleksywnych zastanowień. Na powierzchnię psychiki spadają słowa nie dające się zetrzeć wrażeniami dnia następnego, gdyż rylec gry znaczy niemi tę psychikę tak dalece, że obudzona nagle, czuje jakby je nosiła w sobie oddawna. Nie jest to wszakże tendencja wychowawcza, ale jakby umiejętne, wnikliwe szukanie i wydobywanie rezonansów metodą artystyczną.

Dwie przyjaciółki — Anna i Monika zostają pokolei dotknięte jednakowem nieszczęściem — obie kochał po swojemu i po swojemu zdradzał ten sam mężczyzna. Jedna już się wyleczyła, druga przechodzi dopiero atak rozczarowania i ratuje się dzięki trzeźwości przyjaciółki i dzięki ordynarnej trzeźwości rywalki, a przedewszystkiem może dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Przez tę lukę w sztuce Szczepkowskiej wyłazi sztuczność i przez tę lukę niby strumień wody wdziera się tendencja rezonerstwa.

Dramaturg znalazłby sobie inne wyjście, ale Szczepkowska nie tworzy według kanonów dramatopisarstwa — chodzi jej przedewszystkiem o obfite wypowiedzenie się, w czem przyszła jej z pomocą Reduta, biorąc na swe barki surową i niezgrabną skorupę sztuki, aby rozbić ją przed oczyma widza i ukazać, że wewnątrz tej skorupy znajduje się w stanie dojrzewania jądro — problemat, podobnie jak znajduje się wszędzie w życiu, choć nie wszędzie je spostrzegamy. Zasługa, rola i przyszłość Reduty polegają więc na tem, aby przepuszczać rentgenowskie promienie artyzmu po przez ciało dramatycznej rzeczywistości, choćby najniepozorniejszej zewnętrznie — celem ukazania widzowi ukrywającego się w niej szkieletu, — tego co rzeczywistość ową podtrzymuje i nadaje jej nieprzemijającą formę życiową.

Camera obscura, w której kipi rzetelny twórczy wysiłek. I dlatego to Instytut Reduty śmiało nazywać się może teatrem kameralnym, sposobiącym swój zespół i swoje (o, jakże nie przeciętne!) rekwizyty do tej fachowej i pogłębionej, nie zaś dyletancko płytkiej roli aktorskiej.

Teatr Letni. „Wesoły Wspólnik" - krotochwila w trzech aktach Wincentego Rapackiego. Reżyserował J. Śliwicki.

Rapacki nigdy nie zawodzi — bawi publiczność. To też tryskają kaskady śmiechu, a dłonie układają się same do oklasku. Publiczność nie wymaga od tego autora rozwiązywania zawiłych problematów. Wystarcza jej tłuczenie laskowych orzechów, byleby wprawnie, z beztroskim humorem i werwą. Że się tam zdarzy raz po raz pusta skorupka — czy warto z tego czynić zarzuty dostawcy, który i ten mankament obraca w żart. Bo Rapacki, widząc, że życie częściej dopieka do łez, niż łechce do śmiechu, uprawia komedjopisarstwo rozrywkowe na wesoło. Ośmiesza słabostki ludzkie, kpi nieszkodliwie i zgoła niezłośliwie. Nawet ukazywanie najbliższych w krzywem zwierciadle jest dla Rapackiego niewinną zabawką. Tak ma się rzecz i z „Wesołym wspólnikiem". Autor dramatyczny (niewykończony Leszczyński) ożeniony z aktorką, napisał sztukę no i... ubrdał sobie, żeby główną rolę w niej, wbrew obowiązującej pańszczyźnie, zagrała sceniczna konkurentka jego żony. Jakże jednak ukryć te nieszlachetne pożądliwości? Los zsyła na pomoc przyjaciela. Stąd komplikacje, które narastają dzięki pośrednictwu tego półgłówka. Wiele hałasu, nieporozumień, no i histerycznych popisów świetnej Ćwiklińskiej oraz komika Fertnera w roli przypadkowego autora. Sztuka toczy się jak po szynach. Buch! Koniec! Gdzieś tam coś zgrzytnęło, coś załamało się, ale humor zagłusza dysonanse, a publiczność mówi: Zabawiliśmy się, a co najważniejsze dzięki szczerości Rapackiego, dowiedzieliśmy się jak wygląda zakulisowe życie tych scenicznych bohaterów, którzy w życiu powszedniem są przecież tylko powszednimi zjadaczami chleba. Morał: Nie odegranie sztuki jest kunsztem, ale jej napisanie.

Teatr Polski. „Ich synowa" — komedja w 3-ch aktach Adama Grzymały-Siedleckiego. Reż. Gustaw Buszyński. Dekoracje St. Śliwiński.

Zdawałoby się, że jeżeli w pierwszym akcie młodzieniec, mający cugi w głowie, zaręczy się z manicurzystką, spotkaną w nocy na dancingu, a w dodatku uczyni to podczas libacji z szampanem i taką narzeczoną rankiem sprowadzi do domu szanownych swych rodziców — to sytuacja ta aż nadto wyraźnie zakreśla bieg dalszych wypadków farsy — zwłaszcza wtedy, gdy autor ma do rozporządzenia takie atuty farsowe, jak matka-histeryczka i ojciec-birbant. Mamy przecie takie schematy w farsach francuskich. Autor fika wtedy w beztrosce koziołki, rży jak źrebak, a bohaterów swoich wplątuje w tak zawikłane konflikty, że w myśl zasad *happy end'u* musi ich w końcu wyciągać z bagienka za włosy, ratować przy pomocy wygiupień djalektycznych i nieprawdopodobnych trick'ów.

A jednak okazuje się, że można pokierować akcją inaczej, że nawet farsowego założenia można użyć do przeprowadzenia tezy komedjowej. Tak czyni właśnie Siedlecki. Jego zawiana para narzeczonych, która w forsownej zadymce wystartowała na zacisznym i szanownym terenie ogniska domowego, posłużyła do przeciwstawienia się temu pokoleniu, ukrywającemu w warunkach rzekomego spokoju i przykładnego zrównoważenia... djabła za kołnierzem. Papa i maman, o których przeszłości historja nie tyle milczy, ile uśmiecha się, dyskretnie mrużąc oko, korzystają z okazji, aby raz jeszcze i to bez umiaru i zgoła niedyskretnie użyć rozkoszy życia w towarzystwie dobrze zapowiadającej się pary młodych birbantów.

I oto nagle niespodzianka. Z założeń farsowych rozwija się komedja o podkładzie sentymentalnym.

Ta zmiana frontu ofenzywy autorskiej na widza, owe wycofanie atutów beztroskiego humoru na rzecz wychowawczego sentymentalizmu — świadczą o tem że autor, doskonały skądinąd humorysta, odrzuca metodę fars francuskich w tym wypadku, kiedy samo życie jest zbyt demoralizujące, aby je wpuścić na scenę bez poskramiającej a tendencyjnej korekty.

W każdym razie jest to pedagogiczny ukłon sztuki scenicznej w stronę młodzieży. Oby nie bez skutku.

Grano komedję tak, jak na to zasługiwała, choć nie obsadzono ról z tą samą myślą. Bo ani p. Modzelewska niema nic wspólnego z typem Jadwigi, ani p. Przybyłko-Potocka z farsową histeryczką. Zarówno bowiem jedna, jak i druga są artystkami dramatycznemi wysokiej klasy, podczas gdy komedja Grzymały Siedleckiego wymaga talentów lżejszego kalibru. Jedynie p. Czaplińska w skali swego talentu znalazła doskonałe akcenty dla uwydatnienia groteskowości postaci ciotki. P. Stanisławski, jak zwykle, był bez zarzutu, a p. Krzewiński dyskretny w interpretowaniu powierzonej mu roli.

Teatr Qui - pro - quo. — Rewja „Miłe złego początki".

Chociaż tę pierwszą rewję po tegorocznem otwarciu sympatycznego teatru nazwała dyrekcja „złem" — to przecież początki jego istotnie okazały się miłe... dla publiczności. Obszerne podziemia były pierwszym teatrem, który po wojnie zapoczątkował tego typu widowisko, wstępnym bojem zdobywając sobie publiczność. I nic się tu dotychczas nie zmieniło, choć zmieniło się prawie wszystko... za wyjątkiem dyrekcji Boczkowskiego. O to właśnie chodzi. Nie zmieniło się nic, bo chociaż wychowane tu pokolenie artystów rozleciało się po całej Warszawie, to przecież dobrą tradycją nasiąknął odrazu nowy zespół. Satyra po dawnemu jest trafna, dowcipna i w dobrym tonie („jak dwa gołąbki" i „Rechuneczek"), tańce Tacjanek na wysokim poziomie artystycznym (zwłaszcza „Zaproszenie do walca"), a piosenki melodyjne. Na czoło zespołu wybija się p. Nina Grudzińska, która przy ujmujących warunkach zewnętrznych i głosowo opanowuje już poprawnie temat. Jeszcze wysiłek, a może powitamy w niej artystkę o wyraźnej indywidualności. Warto się o ten sukces pokusić. Egzotyczny urok ma-

ją w sobie takie sceny, jak: „Żółty sentyment" w wykonaniu p. Gilewskiej i dwuch Tacjanek; zaś groteska: „Nie pieprz Pietrze wieprza pieprzem" doskonale wykonana przez p. Winiarską i p. Minowicza wywołują wybuchy szczerej wesołości. Mogłoby się wprawdzie obyć bez nieco drastycznej scenki p. t.: „Suwaj się!" Natomiast efektowny skecz „Samojbójpol", w którym zasłużony komik p. Boroński rozśmiesza po dawnemu do łez — jest bardzo pomysłowy i na czasie. Niemal każdy numer bogatego programu zasługiwałby na wzmiankę, alec lepiej wszystko to zobaczyć osobiście, aby odebrać wrażenie pełne i zachęcające do zapoznawania się z następnemi programami tego mającego swój wyraźny styl teatru.

Mieczysław Jarosławski.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Nakładem poznańskiej Księgarni Św. Wojciecha ukazały się dwie dalsze książeczki z cyklu „Bibljoteczki Przyrodniczej", wychodzącej pod redakcją Zofji Bohuszewiczówny. Pierwsza to — *„Mali Mieszkańcy Dużego Domu"* Heleny Grotowskiej. Kto są ci mieszkańcy? — Przeróżne owady i drobne skorupiaki, z któremi niejeden raz dziecko może się spotkać w domu, lecz nazwać i określić właściwie nie umie. Autorka w sposób niezmiernie zajmujący i miły zaznajamia swych czytelników z trybem życia i właściwościami tych wszystkich karaczanów, świerszczy, stonóg, pająków, mączników i moli, stwarzając z ładnie wydanej i zaopatrzonej w liczne ilustracje książeczki, pewnego rodzaju encyklopedję światka owadziego, zamieszkującego nasze domy od suteryn aż do strychu.

Drugą książeczką z tego samego cyklu jest *„Mały Ogródek"* — Janiny Antoniewiczówny. Taki mały ogródek, zdaniem autorki, może mieć każde dziecko, i to nietylko na wsi, lecz również w mieście. Jeśli przy mieszkaniu znajduje się balkon, można na nim umieścić napełnione odpowiednią ziemią skrzynki drewniane i ogródek gotów. Tylko obsiać go i uprawiać. W braku balkonu, jest okno, a na niem dość będzie miejsca na kilka doniczek, w których każdy młodociany miłośnik roślin może pielęgnować dowoli swe ulubione pelargonje, fuksje czy balsaminki, albo nawet wyhodowane osobiście z nasienia krzewy pomarańczowe i cytrynowe lub palmy daktylowe. Wszystko to uda się napewno i będzie świeżą zielenią oraz kwieciem radowało oczy domowników. Trzeba tylko dbać o rośliny i pielęgnować je należycie. Książeczka p. Antoniewiczówny daje wyczerpujące wskazówki, co należy robić, aby „Mały Ogródek" doprowadzić do stanu rzeczywiście, a nie w przenośni kwitnącego, wskazówki tak pożyteczne, że można śmiało polecić je również dorosłym.

J. T.

Helena Grotowska: Zwierzęta juczne, cz. II. Str. 66. Cena zł. 1.60. *Jadwiga Viewegerowa:* Z życia ryb. Str. 92. Cena zł. 2.80. *Marja Sadzewiczowa:* Słońce. Str. 41. Cena zł. 1.30. *Janusz Domaniewski:* Ptaki naszych lasów. Cz. I. Str. 88. Cena zł. 2.60. *Aniela Kozłowska:* Egipt darem Nilu. Str. 58. Cena zł. 2.—. Nakładem Księgarni św. Wojciecha, r. 1930.

„Bibljoteczka Przyrodnicza" porusza tyle ciekawych tematów, że doprawdy każdy, zwłaszcza młody miłośnik natury, powinien się z nią zapoznać. Dziatwa szkolna pochłaniać będzie piękny opis prof. Domaniewskiego o „Ptakach naszych lasów", ziębach, sikorach, szczygłach, dzwońcach i innych; albo odbędzie podróż w krainy dalekie, podziwiając „Zwierzęta juczne", ich wytrzymałość i pożytek. Młodzież szkolna, jak również niejeden dorosły z przyjemnością odczyta kartki „Z życia ryb", życia tak mało znanego jeszcze; pozna znaczenie rzeki dla kraju i państwa, zagłębiwszy się w „Egipt darem Nilu", a gdy oderwie wzrok od tej lektury, olśni go „Słońce", z prastarem ogniskiem, darzącem rozwojem życia świat roślin, zwierząt i ludzi. Każdy tomik „Bibljoteczki Przyrodniczej" to cegiełka wiedzy, po której stąpamy na drodze do poznania przedziwnej i tajemnej panoramy natury.

E. Marshall. Wyspa Fok. Powieść. Przekład autoryzowany Jerzego Marlicza. Str. 282. Cena zł. 5,—. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań—Warszawa—Wilno—Lublin.

Jest to powieść współczesna o zabarwieniu egzotycznem, „roman d'aventures", jakby ją nazwali Francuzi. Rzecz dzieje się na jednej z wysp Aleuckich, które niby perełki rozsiane są na morzu Berynga między Azją a Ameryką północną.

Autor z prawdziwie anglosaską zimną krwią przedstawia wypadki, budzące grozę, a jego spokój utrwala tylko wrażenie w umyśle czytelnika.

Powieść jest pierwszorzędnie zbudowana, a tłumaczenie jej jest tak gładkie, że nie czuje się zależności od oryginału. „Wyspę fok" śmiało polecić można jako lekturę dla wszystkich i zachęcić do jej czytania ze względu na zalety wyżej wymienione.

Księżniczka wrzosów, E. Marlitt — tłumaczenie Janiny Buchholtzowej.

Najlepsza z powieści E. Marlitt, tłumaczona na wszystkie języki, jest dużo bardziej interesująca od popularnej u nas „Złotej Elżuni", tej samej autorki. Akcja żywa i obrazowa, nadaje się do sfilmowania.

Jest to pamiętnik młodego dziewczątka, wychowanego zdala od ludzi, we wrzosowiskach, przy boku nawpół obłąkanej babki. Po śmierci babki odwozi ją jej opiekunka do ojca, uczonego archeologa, mieszkającego w mieście. Uczony, zajęty jest porządkowaniem wspaniałych zbiorów starożytności, należących do p. Claudiusa, właściciela bogatej firmy ogrodniczej.

Leonora zostaje przezwana „księżniczką wrzosów" przez pięknego Dagoberta i jego siostrę, wychowanków p. Claudiusa. Oboje wielce jej imponują i wzbudzają w niej lęk i nieufność do opiekuna. Sądząc z ich słów wyobraża on sobie, że pan ten jest okrutnym tyranem i skąpcem, zostaje wciągnięta przez młodych w intrygę przeciwko opiekunowi. Przypuszczają oni, że są dziećmi starszego jego brata, ożenionego potajemnie z księżniczką, córką panującego księcia. Po długich niezwykle romantycznych perypetjach, Leonora przekonywuje się, że p. Claudius jest najszlachetniejszym z ludzi. Ucieka jednak od niego na swoje rodzinne wrzosowiska, pewna, że zechce on zaślubić jej ciotkę, piękną, ale przewrotną śpiewaczkę, którą kochał przed laty. Wychowankowie jego są dziećmi tej właśnie owdowiałej damy, niegodnie przez nią porzuconemi.

Wśród dalekich wrzosowisk odnajduje p. Claudius swoją maleńką księżniczkę i wprowadza ją jako panią do swego domu.

Książka ta ma jakiś specjalny, romantyczny urok. Owiana jest czarem prawdziwej poezji. Bardzo dobra lektura dla młodych panienek.

Tłumaczka umiejętnie, z prawdziwym talentem oddała wiernie myśl i styl autorki.

Różyczka, L. M. Alcott — tłumaczenie Janiny Buchholtzowej.

Powieść dla dzieci znanej i cenionej autorki „Małych Mężczyzn", „Małych Kobietek" i wielu innych.

Różyczka, sierota, chowana przez ojca dostaje się pod opiekę licznego grona ciotek, z których każda radaby ją chować według własnego systemu. Niewiadomo coby się z dziewczynką stało, gdyby nie wuj Aleksy, który jako lekarz stosując do jej wychowania doskonałe metody, przywraca jej nietylko zdrowie i wyrabia siły, ale zapewnia jej wiele radosnych chwil. Wesołe przygody Różyczki i jej siedmiu kuzynków stanowią treść książki, poddającej zdrowe i mądre zasady moralne w miłej szacie humoru, opartego na bystrej obserwacji i głębokiej znajomości psychologji dziecięcej.

Tłumaczka wywiązała się z zadania doskonale, pozostawiając stylowi autorki jego właściwości.

L.

Arnold J. inż. Hodowla ryb w stawach. (Bibljoteka Roln. Wzorowego Nr. 2), str. 96, rys. 45 w tekście. Wydawnictwo T-wa Oświaty Rolniczej — Księgarnia Rolnicza w Warszawie.

Ukazała się niewielka stosunkowo rozmiarami, ale b. pożyteczna i istotnie potrzebna książka, podając w sposób łatwy i wybitnie praktyczny zasady urządzania i prowadzenia gospodarstwa stawowego — głównie karpiowego (jednak z uwzględnieniem i pstrągowego).

W książce tej autor opisuje urządzenia stawowe (wybór terenu, groble, mnichy, śluzy i t. p.) — ich budowę i konserwację, anatomję i fizjologję ryb, podaje opis czynności rybackich w stawach karpiowych.

Wreszcie omawia książkowość rybacką z podaniem szeregu wzorów (schematów) odpowiednich książek.

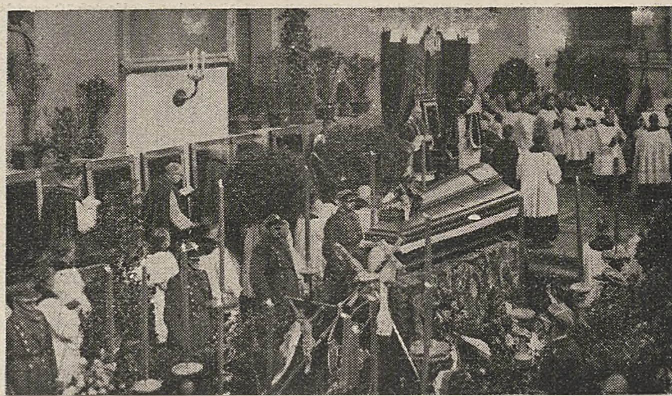
Wydawnictwo zdobi szereg dobrze dobranych i ciekawych ilustracyj.

Jeśli uwzględnimy do tego niską cene (2.50 zł.), możemy śmiało stwierdzić, że rybacy polscy pozyskali dobry a tani podręcznik.

W.



Ś. p. Biskup Bandurski



Trumna ze zwłokami w bazylice Wileńskiej

Z MIESIĄCA

PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ W STOLICY I W KRAJU

— Sesja sejmowa zwyczajna dobiegła końca. Sejm załatwił szereg ustaw, z których ważniejsze są: ustawa o ustroju szkolnictwa, ustawa o opłatach kościelnych, ustawa o zgromadzeniach. Poza szeregiem ustaw o charakterze fiskalnym, mających na celu znalezienie nowych źródeł dochodowych dla Państwa, sięgnięto również po nową ofiarę urzędników. Uchwalona została ustawa zmieniająca dotychczas obowiązującą ustawę o zaopatrzeniu emerytalnem pracowników państwowych i wojska. Zmiany są oczywiście na niekorzyść pracowników, czas bowiem potrzebny do nabycia prawa do emerytury przedłużono z 10 do 15 lat, po których dopiero nabywa się prawo do 40% emerytury, maksymalny wymiar emerytury obniżono ze 100% na 92%, podniesiono składkę emerytalną z 5 do 8% uposażenia. W czasie uchwalania projektu tej ustawy w komisji sejmowej opozycja nie była obecna. Wspomniane wyżej zmiany ustawy emerytalnej stawiają pracownika państwowego w znacznie gorszem położeniu, aniżeli pracownika prywatnego. Według oświadczenia p. Ministra Skarbu, rząd nie miał innego wyjścia i stanął wobec alternatywy obniżenia płac czynnym urzędnikom, lub sięgnięcia do emerytur, i uznał za słuszniejsze uciec się do tego drugiego środka.

Najzawziętsza walka, słowna oczywiście, toczyła się dookoła ustawy o ustroju szkolnictwa, którą opozycja zwalcza zdecydowanie i ustawy o zgromadzeniach, która jest w ten sposób skonstruowana, że daje duże — może nazbyt duże — pole swobodnemu uznaniu władz administracyjnych.

— Rząd wniósł do Sejmu projekt ustawy o ubezpieczeniach społecznych.

Projekt wprowadza następujące zasady organizacji ubezpieczeń społecznych: 61 kas chorych przeistoczonych będzie w tyleż kas ubezpieczeń społecznych, które będą działały nietylko w zakresie ubezpieczenia chorobowego, lecz spełniały także szereg czynności dla ubezpieczeń emerytalnych i wypadkowych. Wszystkie zakłady ubezpieczeń społecznych zostaną połączone w jeden zakład ubezpieczeń społecznych z wyjątkiem zakładu ubezpieczeń na G. Śląsku i działu inwalidzkiego ubezpieczalni krajowej. W ten sposób przyszły centralny zakład obejmować będzie wszystkie rodzaje ubezpieczeń długoterminowych, t. zn.: 1) ubezpieczenia pracowników umysłowych (emerytalny i na wypadek braku pracy), 2) ubezpieczenie od wypadków zarówno robotników, jak i pracowników umysłowych, 3) ubezpieczenie emerytalne robotników.

Cały aparat wykonawczy zakładu ma być scentralizowany i poddany władzy dyrekcji, złożonej z 6 osób pod kierownictwem naczelnego dyrektora.

Zakład będzie posiadał na początek cztery oddziały lokalne w Warszawie, Lwowie, Poznaniu i Królewskiej Hucie. Ponieważ zakład obejmuje różne działy ubezpieczeń, musi być zachowana odrębność poszczególnych funduszów ubezpieczeniowych, oraz oddzielne organy kolegjalne, zarządzające temi funduszami. W tym celu projekt przewiduje utworzenie trzech komisyj ubezpieczeń, a mianowicie: 1) ubezpieczeń pracowników umysłowych, 2) ubezpieczenia emerytalnego robotników, 3) ubezpieczeń na wypadek choroby i od wypadku.

— Marszałek Piłsudski wyjechał do Egiptu 8 marca statek Romanja, na którym Marszałek Piłsudski odbywał podróż, zawitał do Aleksandrji. Marszałka powitali: gubernator Aleksandrji, brat królowej i przedstawiciele władz egipskich. Wzdłuż mola ustawiły się oddziały gwardji honorowej egipskiej i angielskiej. Marszałek wygląda czerstwo i zniósł podróż doskonale.

— Rząd wystąpił do Sejmu o uchwalenie pełnomocnictw na czas do zwołania Sejmu na sesję zwyczajną, a w zakresie organizacji administracji publicznej do dnia 31 grudnia 1934 r. Z pełnomocnictw wyłączone są sprawy wymienione w art. 3 ust. 4, art. 4, 5, 8, 49 ust. 2, 50 i 59 Konstytucji, nakładania nowych podatków, ustanawiania nowych monopolów zbycia i zamiany nieruchomego majątku państwowego, o ile wartość poszczególnego objektu przekracza 100.000 zł., zmiany ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu, ustroju samorządu terytorjalnego i ordynacji wyborczej do organów tego samorządu, ustaw szkolnych i językowych, oraz prawa małżeńskiego. Rząd motywuje konieczność uzyskania pełnomocnictw przewlekłą depresją gospodarczą, która wymaga uelastycznienia całego ustawodawstwa gospodarczego, dla umożliwienia natychmiastowej reakcji ustawodawczej przeciw zmianom zachodzącym na terenie międzynarodowym. Reforma administracji wymaga wielkiej liczby ustaw. Dotychczas w dziedzinie samej tylko dekoncentracji przygotowano już 80 wniosków ustawodawczych.

— Klub narodowy wniósł projekt o zastosowaniu „numerus clausus" w wyższych uczelniach, polegający na tem, że byłaby określona najwyższa dopuszczalna liczba słuchaczów, zaś niechrześcijanie, mieliby dostęp procentowo w stosunku w jakim według ostatniego spisu ludności pozostają do ludności katolickiej. Projektowi przeciwstawił się zarówno rząd, jak i Blok Bezpartyjny.

— Minister Strassburger ustąpił ze stanowiska komisarza jeneralnego Rzeczypospolitej w Gdańsku. Sfery nacjonalistyczne w Gdańsku nie ukrywają swej radości z tego powodu. Wyjeżdżającego min. Strassburgera żegnało około 30 osób ze sfer społeczeństwa i władz polskich i gdańskich. Między innymi przybył również wysoki komisarz Ligi Narodów, hr. Gravina z małżonką.

— Rada Ministrów postanowiła gwarancje dla tranzakcji, związanych ze sprzedażą rolnikom, w okresie wiosennym, nawozów sztucznych, z tem, że udział Państwa w ewentualnych stratach, jakie ta tranzakcja mogłaby za sobą pociągnąć, nie może przekraczać 6 miljonów złotych. Pozatem Rada Ministrów postanowiła, w wyniku prac centralnej komisji do spraw finansowo - rolniczych przy Prezesie Rady Ministrów, powołać również przy Ministrze Rolnictwa centralny komitet do spraw finansowo - rolniczych, wraz z odpowiednikiem w postaci wojewódzkich komitetów, gdzie obok przedstawicieli władz państwowych braliby udział przedstawiciele sfer zainteresowanych.

— Wskutek ciężkiej sytuacji w górnictwie i hutnictwie i związaną z tem redukcją płac, zmniejszaniem dni pracy i tak zwanego „urlopowania" robotników, przez Zagłębie węglowe przeszła fala strajku

— W wielu prowincjonalnych miastach polskich, jak np. Kaliszu, Piotrkowie Trybunalskim, Radomsku, Przemyślu, Radomiu, Częstochowie i innych wybuchł strajk konsumentów prądu elektrycznego. Strajk wywołany został tem, że mimo kryzysu i zubożenia ludności, elektrownie, oparte przeważnie na zagranicznym kapitale, pobierają za prąd nadmierne ceny i czerpią z tego źródła nadmierne, w stosunku do kosztów eksploatacji, zyski. Strajk rozszerza się coraz bardziej i ma wszędzie przebieg zupełnie spokojny. Wszędzie potworzyły się obywatelskie komitety strajkowe

N A   S Z E R O K I M   Ś W I E C I E

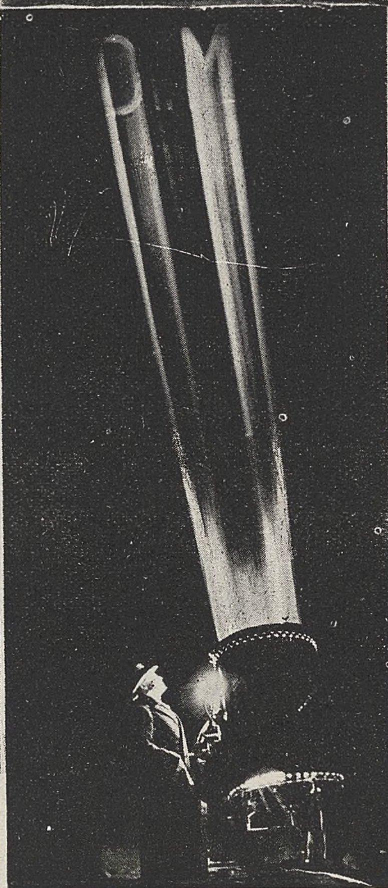
Paradoks w sztuce: Rzeźbiarka D. Charol w rzeźbie swej złośliwie połączyła dwie twarze — miljonera Rackfella i... Lenina.

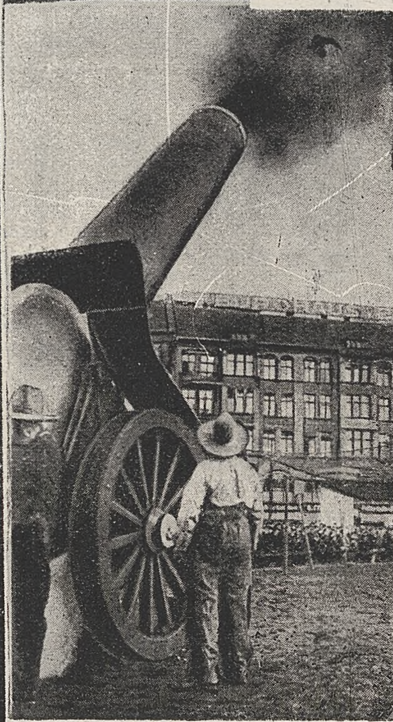
Niżej: Policjant w Moskwie reguluje ruch, posługując się świecącą rękawicą











Pomnik Nieznanego Żołnierza w Monahjum. W środku: aparat do rzucania reklam na odległe o 2000 m. chmury

Wystrzał z armaty „żywym pociskiem“ — akrobatą na 30 m. wgórę.

Postawa strajkujących jest zdecydowana.

— Pewien góral ze Spytkowic, pod Nowym Targiem, przesłał redaktorowi pisma ludowego, p. t. „Gospodarz Polski", Feliksowi Gwiżdżowi list, w którym zawiadomił go, że z pobudek ideowych zamierza zgładzić Wincentego Witosa zapomocą trucizny. Trucizna miała być, według szalonego pomysłu górala, przesłana Witosowi w butelce miodu. Witos został ostrzeżony, a sprawą zajęły się władze bezpieczeństwa.

— W kraju rozwija się w zastraszający sposób bandytyzm. Napady zdarzają się nietylko na prowincji, ale i w stolicy w biały dzień. Niedawno władze bezpieczeństwa zlikwidowały dwie szajki zbirów, którzy przez czas dłuższy teroryzowali drobnych kupców na placu Karcelego i szoferów autobusowych, wymuszając okup. W Rembertowie bandyci dokonali zamachu na patrol policyjny i zabili jednego policjanta, a dwóch ciężko ranili. A trybunowie ludowi oburzają się na wprowadzanie sądów doraźnych.

Francja — poniosła znowu bardzo dotkliwą stratę. Zmarł Arystydes Briand. Śmierć jego wywołała ogromne wrażenie. Kiedy w parlamencie przewodniczący izby Bonisson, otwierając posiedzenie, oświadczył: „Massieurs, Aristide Briand est mort"!, zapanowała grobowa cisza. Posłowie powstali z miejsc, a premjer Tardieu imieniem rządu złożył hołd zmarłemu.

Parlament uchwalił, że Arystydes Briand dobrze zasłużył się ojczyźnie. Jest to najwyższe odznaczenie, jakie może stać się udziałem obywatela francuskiego.

Ś. p. Arystydes Briand urodził się 28 marca 1862 r. w mieście bretońskiem Saint-Nazaire, jako syn tamtejszego oberżysty. Studja licealne odbywa w Nantes, gdzie też, po skończeniu prawa, rozpoczyna w 21-ym roku życia praktykę adwokacką. Wcześnie poświęca się pracy politycznej, jako zwolennik partji socjalistycznej; obejmuje kierownictwo gazety „Lanterne", a następnie naczelny sekretarjat partji. Jego wielki sukces obrończy, jakim staje się uwolnienie od kary jednego z robotników w St. Etienne — otwiera mu drogę do izby deputowanych, gdzie, jako wybraniec robotniczy, zasiadł poraz pierwszy w r. 1902.

W marcu 1906 r. obejmuje poraz pierwszy tekę ministerjalną, otrzymawszy resort oświaty w gabinecie Sarrien. Na tem stanowisku zajmuje się wprowadzeniem w życie ustawy o rozdziale Kościoła od państwa. W kolejno potem następującym gabinecie Clemenceau (1907 r.) zachowuje tę samą tekę. W roku następnym obejmuje tekę sprawiedliwości i podejmuje próbę zniesienia kary śmierci.

23 października 1909 r. otrzymuje pierwszą misję utworzenia gabinetu, która uwieńczona zostaje pomyślnym skutkiem. Zmarły był apostołem pacyfizmu. Był on wielkim przyjacielem Polski, a jeżeli popełniał błędy w polityce w stosunku do Polski, to można to położyć na karb jego pacyfizmu i idei zbliżenia francusko-niemieckiego.

— Francja przeżyła przesilenie rządowe. Gabinet Lavala upadł, nowy gabinet utworzył minister Tardieu. Prasa francuska przyjęła nowy gabinet życzliwie i wyraża opinję, że Tardieu nie będzie miał trudności na terenie parlamentarnym.

Natomiast prasa niemiecka ustosunkowuje się nieżyczliwie, przypuszcza bowiem, że Tardieu na czele rządu, oznacza zaostrzenie się kursu polityki zagranicznej. Niemcy wyczuwają, że Tardieu, jako doświadczony polityk o niezłomnej woli, będzie w polityce zagranicznej trudnym przeciwnikiem, z którym walka będzie bardzo mozolna, zwłaszcza w kampanji rozbrojeniowej.

Rzym i Watykan. 13 lutego znaleziono w Bazylice św. Piotra, w pobliżu grobowca papieża Inocentego II, bombę o znacznej sile wybuchowej.

— W rocznicę podpisania traktatu Laterańskiego, premjer Włoch, Mussolini, złożył Ojcu Św. wizytę. Rozmowa, która miała charakter zupełnie oficjalny, trwała przeszło godzinę.

— Kardynał Kakowski był przyjęty przez ojca Św. na audjencji nacechowanej dużą serdecznością.

Niemcy są w naprężeniu z powodu wyborów Prezydenta Rzeszy. Po gwałtownej walce przedwyborczej, największą ilość głosów otrzymali Hindenburg i Hittler. Ściślejsze wybory zostaną przeprowadzone w dniu 10 kwietnia. Hindenburgowi brakło do absolutnej większości tylko 150.000 głosów.

— W sprawie kłajpedzkiej Niemcy poniosły w Lidze Narodów porażkę. Raport przyjęty w tej kwestji, stwierdza stan anormalny, wymagający zastosowania nagłych środków, celem niedopuszczenia do pogorszenia się sytuacji i celem normalnego funkcjonowania statutu, jednakże raport ten nie przesądza bynajmniej kwestji, czy Litwa pogwałciła statut kłajpedzki.

— Rada państwa Rzeszy przyjęła wniosek ministerjum pracy, zakazujący wpuszczania na teren Niemiec w ciągu r. 1932 zagranicznych robotników sezonowych. Przedstawiciel Pomorza pruskiego zaprotestował przeciwko wnioskowi, żądając dopuszczenia dalszego kontyngentu conajmniej 30.000 robotników zagranicznych do robót ziemnych.

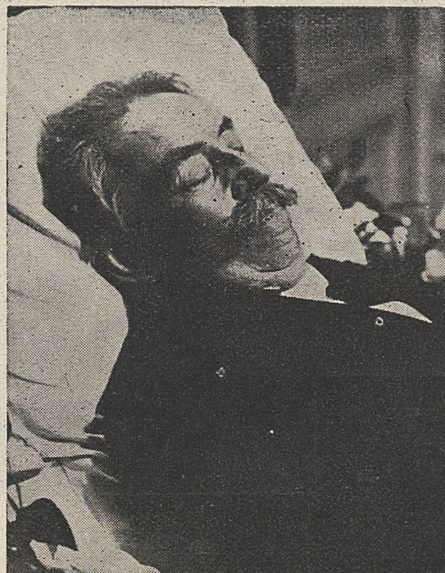
W Ludwighafen policja wykryła tajną hitlerowską organizację, która miała za zadanie usuwać niewygodnych dla partji przeciwników palitycznych. W podobny sposób został również zgładzony b. poseł hittlerowski dr. Schäfer.

— Rada Rzeszy zatwierdziła nową, zmienioną umowę polską, dotyczącą t. zw. małego ruchu granicznego. Umowa ta przewiduje cały szereg ułatwień dla ruchu granicznego, zwłaszcza w dziedzinie personalnej jak np. przedłużenie legitymacyj uprawniających do przekroczenia granicy na przeciąg jednego roku (co dotąd czynione było tylko w wyjątkowych wypadkach).

— W Niemczech koła gospodarcze zaznaczają katastrofalne położenia rolnictwa niemieckiego. Zapowiada się olbrzymi niedobór zbiorów zbóż z powodu zbyt szczupłego używania nawozów sztucznych. Rząd niemiecki wydał nowe taryfy maksymalne, które mają zabezpieczyć Niemcy przed zalewem importu z Polski.

— W Berlinie wybuchł oryginalny strajk. Strajkują konsumenci piwa, z powodu nałożenia nań nowych opłat fiskalnych.

Widać przebrała się miara cierpliwości, skoro „naród bojaźni Bożej", wyrzekł się swego narodowego trunku!



Ś. p. Arystydes Briand

LIGA NARODÓW.

Przy akompanjamencie armat z pod Szanghaju toczą się rokowania konferencji rozbrojeniowej.

Sowiety (Litwinow) uzasadniały projekt całkowitego, integralnego rozbrojenia. Przemówienie Litwinowa da się streścić w sześciu punktach:

Pierwszy: Wojna na Dalekim Wschodzie jest rezultatem odrzucenia przez przygotowawczą komisję rozbrojeniową sowieckich propozycyj w sprawie integralnego, całkowitego rozbrojenia. Drugi: Tylko integralne rozbrojenie daje zupełną gwarancję przeciw wojnie. Trzeci: Francuskie projekty są nierealne i chybione. Czwarty: Sowiety nie łudzą się, aby projekty sowieckie miały szanse realizacji, a w konsekwencji gotowe są współpracować na podstawie innych propozycyj, zmierzających do ograniczenia zbrojeń. Piąty: Rosja podtrzymuje swe dawne wnioski przeciw używaniu czołgów, pancerników, artylerji ciężkiej, samolotów bombardujących, awjonetek oraz broni chemicznej i bakterjologicznej. Szósty: Sowiety gotowe są rozbroić się i nie mają zamiarów agresywnych.

Okropne wrażenie wywarła mowa Grandiego, który wyznaje zasady zbliżone do niemieckich: „najpierw rozbrojenie, później bezpieczeństwo".

Polska wystąpiła z projektem rozbrojenia moralnego. Został on zrazu przyjęty nieprzychylnie i zarzucano mu, że nie wspomina nic o rozbrojeniu militarnem. Jednak następnie idea rozbrojenia moralnego zyskała sobie zwolenników.

Chiny. Podczas, gdy w Genewie toczą się konferencje rozbrojeniowe na Dalekim Wschodzie wre walka, zwana obłudnie „zatargiem". Ofensywa japońska zatrzymała się, nie mogąc przełamać linij chińskich atakiem frontowym. Japończycy zastosowali taktykę oskrzydlenia. Po nader gwałtownych i krwawych walkach wojska chińskie cofnęły się. Japończycy zaprzestali wielkich bitew, prowadzą jednak drobne utarczki, aby Chińczykom nie pozwolić zorganizować się. Jednocześnie ściągają z metropolji coraz nowe posiłki, tak, że ich stan li-

Z E Ś W I A T A

Z zawodów hockejowych w Lake Placid, które wchodzą w skład wszechświatowej Olimpjady sportowej











U brzegów angielskich złowiono wspaniały okaz narvala 9 metrowej długości z rodziny Delphinapteridae (Biełuchy).

W środku: zabawa karnawałowa w Berlinie.

Zamarzły wodospad w Alpach. Na lewo: Straszna powódź nawiedziła Amerykę północną.

czebny w Chinach wynosi około 70.000 żołnierzy. Dyktatorem i wodzem naczelnym całej armji chińskiej został mianowany marszałek Czan-Kaj-Czek. Porozumienie utrudnione jest przez to, że Japończycy uzależniają zawieszenie broni od wycofania wojsk chińskich w promieniu 20 km. od Szanghaju, Chińczycy natomiast domagają się uprzedniego zupełnego wycofania wojsk jepońskich z Chin.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

Całe Stany Zjednoczone poruszyła sensacyjna wiadomość, iż 19-miesięcznego syna popularnego lotnika amerykańskiego, płk. Lindbergha, porwali nieznani ludzie z sypialni. Wypadek ten zdarzył się w godzinach wieczorowych, między godziną 19 a 22. Lindbergh wszedł do sypialni swego synka i spostrzegł przerażony, że łóżeczko jest puste. Okna od sypialni były otwarte. Lindbergh zawiadomił niezwłocznie o wypadku policję, która rozesłała natychmiast okólnik przez radjo do wszystkich posterunków policyjnych. Zrozpaczony ojciec i matka wsiedli niezwłocznie w aeroplan i przeszukali okolicę. Dom państwa Lindberghów znajduje się bowiem w samotnej miejscowości Hopewell w stanie New Jersey. Dookoła, na dużej przestrzeni, znajdują się pola, a dalej gesty las. Najbliższe osady farmerskie są dość daleko. Policja obstawiła wszystkie szosy w stanie New Jersey i rewiduje wszystkich przechodniów i samochody.

Ostatnio zrozpaczony ojciec godzi się na złożenie okupu i czyni wszystko co może, aby bandytom ułatwić zwrot dziecka.

— W Moskwie dokonano zamachu rewolwerowego na radcę ambasady niemieckiej von Twardowsky'ego. Sprawca Sztern, został aresztowany. Pobudek zbrodni władze sowieckie nie ujawniają. Stan rannego dyplomaty jest dobry.

NAD GROBEM BISKUPA BANDURSKIEGO

(od własnego korespondenta „Ech Leśnych").

W dniu 10 marca odbył się w Wilnie pogrzeb zmarłego tam po dłuższej chorobie ś. p. księdza biskupa dr. Władysława Bandurskiego, który jako kapłan, żołnierz i literat położył niespożyte zasługi na polu walki o Polskę Niepodległą. Nic więc dziwnego, że pogrzeb tego wielkiego partjoty stał się manifestacją narodową i państwową. Oto co donosi o owej ceremonji żałobnej korespondent naszego pisma:

Spokojny i cichy gród kresowy w dniu pogrzebu ś. p. biskupa Bandurskiego zmienił zupełnie swe oblicze. Od samego rana nad bramami wszystkich domów powiewały spowite kirem białoamarantowe chorągwie narodowe. Od szczytu Pałacu Reprezentacyjnego, gdzie zmarły dokonał pracowitego żywota i skąd w przeddzień pogrzebu doczesne Jego szczątki na własnych barkach ponieśli do pobliskiej bazyliki najwyżsi dostojnicy państwowi, niegdyś oficerowie bohaterskich legjonów, zwisają czarne płachty, płachty żałobnych proporców. Na ulicach rojno i tłoczno. Przeważają wojskowi. Zjechali na dzień ten do Wilna z najodleglejszych zakątków Rzeczypospolitej, jako delegaci swych pułków, aby oddać ostatnią posługę temu „biskupowi legjonowemu", co pełnem zapału słowem dodawał im otuchy w najcięższych godzinach walki o wolność Ojczyzny.

Nietylko wojskowi zresztą. Już od dziewiątej rano przed wrotami bazyliki ustawiły się szpalerem poczty sztandarowe niezliczonych organizacyj, związków i zrzeszeń. Rozległa nawa świątyni, gdzie na wysokim katafalku, wśród wieńców i zieleni drzew laurowych, opromieniona blaskiem gorejących gromnic, widnieje trumna, ozdobiona insygniami biskupiemi i generalskiemi, wypełniła się szczelnie tłumem pragnących wziąć udział w pogrzebie.

Punktualnie o 10.15 zabrzmiały fanfary, zwiastujące przybycie Wysokiego Gościa, orkiestra jednego z pułków odegrała hymn i Prezydent Rzeczypospolitej zajął przygotowany dla siebie fotel przed bazyliką, na wzniesieniu obitem czerwonem suknem. Z trybuny przemawiał minister Jędrzejewicz, potem prezydent miasta Wilna Folejewski. Obydwaj sławią życie ś. p. biskupa Bandurskiego, pełne niespożytych zasług, a przecież ciche i skromne, jak ten gród kresowy, w którym przebywał przez ostatni lat dziesiątek.

Tylko te dwa przemówienia. Nie więcej. Jakże? To przecież Wilno. Słońce świeci wprawdzie, ale tęgi mróz szczypie. Termometr wskazuje blisko 15°. Po ulicach snują się sanki. Śnieg grubości niemal metrowej zaściela okolicę i Wilję pokrywa pancerz grubej powłoki lodowej.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej wraz ze swym orszakiem, wśród którego spostrzegamy premjera ministrów i marszałków sejmu oraz senatu, wkracza do świątyni, gdzie Jego adjutanci składają przy trumnie olbrzymi wieniec ze wstęgami o barwach państwowych. Arcybiskup Jałbrzykowski w otoczeniu trzech biskupów i licznych księży rozpoczyna egzekwje z towarzyszeniem chóru, nucącego żałobne pieśni.

— Módlcie się za zmarłego biskupa Władysława — mówi wreszcie donośnym głosem.

Modlą się wszyscy. I ci oficerowie o marsowych twarzach, pamiętający boje legjonów, w których towarzyszył im ś. p. biskup Bandurski i ministrowie i strzelcy i zebrany w pełnym składzie w strojach uroczystych senat uniwersytetu króla Batorego, a zapewne i mufty tatarski i chacham karaimski, których zawoje bieleją w pierwszych rzędach ławek.

Jeszcze jedno przemówienie. Ksiądz Falkowski w purpurowej todze dziekana uniwersytetu odzywa się w imieniu senatu tej uczelni. Mówi o wielkiem umiłowaniu Ojczyzny przez Zmarłego, jedynem w Jego życiu, przeogromnem. Mówi o tem, jak bratem był ś. p. biskup Bandurski żołnierzowi polskiemu, sam będąc żołnierzem na pierwszym szańcu Ojczyzny.

I to wszystko. Potem już tylko trumna z katafalku płynie wspierana ramionami legjonistów. Płynie ku krypcie, w której ma pozostać na wieki. A w tej chwili uroczystej biją rozgłośnem echem dzwony wszystkich kościołów wileńskich i ze szczytu dalekiej Góry Trzykrzyskiej grzmią głucho strzały armatnie. Jak wówczas. Jak w wigilję zmartwychwstania Polski.

Jur.

JEŻELI CHCECIE MIEĆ NIEZALEŻNE PISMO LEŚNE, WPŁACAJCIE REGULARNIE PRENUMERATĘ! KONTO P. K. O. Nr. 5.755.

ŁÓDŹ TREWIRANUSA

W ostatnim numerze Ech Leśnych podaliśmy sumę składek zebranych na Flotę Narodową w odpowiedzi na osławioną mowę Trewiranusa. Niezależnie od tego p. Nadleśniczy Borodzik, (Nadleśnictwo Krymniańskie), śród swoich urzędników i funkcjonarjuszy, zorganizował Koło Komitetu Floty Narodowej i poniżej podaje sprawozdanie z działalności tego koła w pierwszym roku jego istnienia, t. j. za 1931 r. zebrano:

Z wkładek członków . . .	152,25 zł.
Ze sprzedaży odznak K. F. N.	45,00 „
Ze sprzedaży znaczków K.F.N.	146,00 „
Razem	343,25 zł.

SZARY EPIZOD

(z cyklu nowel poetyckich z czasu Wielkiej Wojny; cykl ten niebawem ukaże się w druku p. t. „Nieludzka komedja")

Poszedł. Stara czekała. Trzy lata. — Wspomina:
Ostatni raz na stacji... kapela i wieńce...
Podbiegł w siwym mundurze... ujął matkę za ręce...
Chciał mówić... nie mógł... łkając, żegnał ją oczyma.

Potem martwe czekanie... Potem straszna lektura,
Podczas której lęk serce pod gardło zaciska:
Biuletyny wojskowe. — Codzień one na murach
Gęstym maczkiem podają poległych nazwiska.

Czasem w drzwi ktoś zastuka. — „List od niego, o Boże!" —
Stara czyta — nie wierzy — bo poczta polowa
Takie dziwne... tak obce przyniosła jej słowa:
„Że on przeklął świat, siebie... Że wytrzymać nie może..."

Wczoraj ludzie go wreszcie przywiedli do matki.
Jak lunatyk, bezwolnie wlókł nogę za nogą;
Obojętnie siadł w fotel — nie poznawał nikogo,
Zapatrzony przed siebie nieruchomych ócz blaskiem.

Ludzie wyszli w milczeniu. — Gdzieś za oknem kos gwizdnął. —
Na przybysza dłoń spływa czyichś starczych łez ciepło...
Nie drgnął nawet. — Bo, pod tą gładką czoła płaszczyzną,
Coś w nadludzkim wysiłku już na zawsze zakrzepło.

Jakiś obraz, gest jakiś... — Czas się w pędzie zatrzymał,
Zatrzymała się ziemia, zatrzymało się życie
Tylko w to „coś", wykute jakby w stalorycie,
Błyszczącemi zdumieniem wciąż patrzył oczyma.

Widziano potem starą. Chodziła po mieście,
Zaczepiając przechodni: — „To ja... to ja, Władku..." —
Ktoś napisał do pułku. Po miesiącu nareszcie
Przyszło pismo: — „Oszalał w gazowym ataku". —

BOGDAN KARPACKI

JERZY MACIEJEWSKI.

2)

PAJĄK W ZŁOTEJ KLATCE

Lecz najciekawsze były nazwiska, cudaczne skojarzenia w brzmieniu firm. Oto spółka Charap i Comber, Ordynans i Kolber, Szatan i Cynamon, Przednówek, Cymbał i S-ka... Do rozczulenia doprowadzało to zespolenie wszystkich dzielnic Polski w... księdze wekslowej. W harmonijnej zgodzie figurował Toruń obok Tarnopola, Mołodeczno przy Łomży lub Cieszynie.

Nastrój dzisiejszego popołudnia był wyjątkowo usypiający. Od nagrzanych kaloryferów biła fala gorąca, przed oczyma wielka księga, upstrzona maczkiem cyfr i literek, obok monotonny, gwałtownie śpieszący klekot maszyny, a w sąsiednim pokoju głosy dwóch urzędniczek, sprawdzających zestawienie.

— Tysiąc czterysta osiemdziesiąt pięć.

— Siedemnaście — matowo odpowiada druga.

— Dwa tysiące dwieście — brzmiał senny głos.

— Dwadzieścia jeden.

A w sekundę później dodatek:

— Dziś idę do kina.

— Czternaście tysięcy — padała większa suma, potem odpowiedź:

— Ja nie idę, bo on nie pozwala.

— Dwadzieścia trzy...

Czasami liczby rozciągały się i Stefan myślał, że jeszcze chwila, a biuralistki zasną. Lecz, nie podejmowały na nowo.

— Do pana prokurenta.

„Tygrys" spojrzał z pod okularów na Stefana i wręczając arkusz papieru rzekł:

— Zanieś-e pan to do mieszkania pana prezesa.

Pokojówka prowadziła go do pokoju pani prezesowej, uśmiechając się z jego zakłopotania, z troskliwości, z jaką stąpał po puszystych dywanach, z obawy z jaką stawiał kroki na lśniącej posadzce. Przed jego oczyma przesuwała się amfilada komnat, a wszedzie złocenia, bronzy, obrazy, wymyślne meble.

— W tej oto klatce gnieździ się pająk — pomyślał i myśl spłoszona uciekła, bo dziewczyna, usuwając się, wskazała na wysokie drzwi.

Zastukał.

— Wejść! — padło krótko i energicznie.

Chwilę szarpał się z drzwiami, nie wiedząc czy popchnąć, czy pociągnąć, wreszcie wpadł nieco zbyt gwałtownie i stanął olśniony. Przepych tego pokoju, zdawało się mu, doszedł do zenitu, a przez olbrzymie weneckie okno wlewały się potoki światła.

Przy biurku, odwrócona tyłem do niego, siedziała postać w jedwabnej pyjamie, z włosami przyciętemi tak krótko, że wyglądała na mężczyznę. Nie podnosząc głowy pisała. Nieruchomo, jak posąg, stał Stefan Chędogo.

— Z tych oto bogactw możnaby wykrajać dostatnie, dożywotnie utrzymanie dla kilkunastu rodzin robotniczych — myślał.

— Ten papier odda pan prokurentowi, ten do korespondencji, ten list w ekspedycji. Natychmiast mają odesłać — głos jej spłynął ze strugi światła i rozsypał się kaskadą kryształowych kulek. A ponieważ on się nie ruszał, powtórzyła ostro:

— No?!

Postąpił szybko parę kroków i, zapatrzony w zjawisko, potknął się o wielkie niedźwiedzie futro, rozciągnięte przed biurkiem.

Zmarszczka gniewu ustąpiła z twarzy pięknej pani. Uśmiechnęła się nawet.

— Jakiś nowy? A gdzie pan Szumiraj?

— Chory. Grypa, pani prezesowo.

— Pan się nazywa?

— Stefan Chędogo.

— A więc panie... Chędogo — uśmiechając się oglądała jego wyprostowaną po żołniersku postać i zachwycone oczy — może pan odejść.

Szczeknął z przyzwyczajania obcasami i zawrócił ku drzwiom.

— Panie! — zatrzymała go. — Umie pan pisać na maszynie?

— Underwood, Remington, pani prezesowo!

Z ręki jej potoczył się ołówek i brzęknął o posadzkę.

Skoczył podnosić. Pochylił się do jej nóg i szukał. Mała, malutka nóżka w safjanowym pantofelku, jedwabna pończoszka, stópka ta przyciskała ołówek! Delikatnie wydobył go. Podał.

— Ma pan puszyste włosy, panie Chędogo.



„Tygrys" spojrzał z pod okularów na Stefana.

Nie wiedząc co odpowiedzieć uśmiechnął się. Poczem już bez przeszkód wycofał się za drzwi. Wracając do biura uśmiechnął się do siebie, że to wszystko było snem tylko, że „tylko idjota" mógł upatrzeć w tem co zaszło rzeczy niezwykłe. Po raz setny przebiegał w myśli każdy „jej" ruch, przypominał sobie każdy wyraz, dziwnie tęsknie spoglądając przez biurowe okno na ten mroźny świat.

Okno było opatrzone mocną kratą, a szyby zasnute mlecznobiałym zamrozem, dzierganym w fantastyczne kwiaty. Rysowały się na nich czarnemi, dużemi prostokątami pręty kraty, a prawy róg barwiło ciepłem wspomnieniem lata zachodzące słońce. Głośniej skrzypi śnieg pod kołami przejeżdżających wozów, szybciej biegną ludzie i mocniej tupią nogami. Przy każdem otworzeniu ust wybuchają z nich kłębki oddechu, niczem para z rury lokomobili. Mróz potęguje się.

Zadumę przerwał dzwonek telefonu. Szczęk widełków, służbiste potakiwanie prokurenta i zakończenie:

— Dobrze, pani prezesowo! — potem:

— Pan pisze na maszynie, panie Chędogo?

— Tak jest.

— Uda się pan do mieszkania pana prezesa. Będzie pan tam pisał.

Sen się ziszczał.

Znów amfilada pokojów, znów uśmiechająca się pokojówka — kiedy indziej zauważyłby, że jest to wcale ładna dziewczyna o niezwykle delikatnie, jakby z płatka róży, wykrojonych usteczkach, — i gabinet.

Pani ubrana, chodzi dużemi krokami po pokoju, maszyna na stoliku, przy oknie.

— Niech pan siada. Dyktuję.

Palce zawiesił nad klawjaturą, cały zamieniając się w słuch. Jakżeż wnikliwe są kryształkowe kuleczki jej głosu!

— Do — miejsce na nazwisko adresata zostawi pan wolne — w miejscu. Zacznie pan teraz tutaj: — pochyliła się nad nim, obnażone ramię dotknęło policzka, podczas gdy paluszek wskazywał odpowiednie miejsce; duży brylant w pierścieniu miotał snopy iskier. — No?! — znów ten władczy okrzyk i uśmiech. — Może pan pocałować...

(D. c. n.)

JERZY-MARJUSZ TAYLOR

4)

RYSIE Z LEŚNICZÓWKI

— Zapomniał już zupełnie — cieszył się chłopiec.

Dowiedział się jednak zczasem, że Put nie zapomina tak prędko, choć narazie wszystko szło pozornie zwykłym trybem. Tylko ryś przywiązywał się do chłopca jeszcze więcej i nie opuszczał go ani na chwilę. Adaś wprost nie mógł ruszyć się nigdzie, żeby Put nie towarzyszył mu nieodstępnie niby cień. Dobre to było, póki spacery chłopca ograniczały się do podwórka. Ale zima miała się już ku schyłkowi. Był luty i Adaś chciał nareszcie użyć rozkoszy saneczkowania, do czego oddawna służyła mu spadzista droga leśna, prowadząca hen, poprzez przełęcze górskie, ku leżącemu na skraju borów miasteczku. Tej zimy Adaś pozbawiony był swej przyjemności. Przywiązanie Puta nie pozwoliło mu oddalić się z domu.

Pewnego mroźnego poranka wreszcie, kiedy śnieg lśnił się w słońcu miljonami iskier i wabił kusząco, Adaś wpadł na pomysł, który jemu samemu wydawał się wprost genialny. Odszukał więc przedewszystkiem na poddaszu starą obrożę psa myśliwskiego, z którym dawniej ojciec chodził na polowanie, i założył ją na kosmatą szyję Puta. Do obroży przywiązał długą smycz rzemienną, również stanowiącą spuściznę po owym wyżle czy ceterze, którego niegdyś rozerwały wilki, i przytroczywszy do pleców saneczki, udał się na wyprawę ze swym drapieżnym ulubieńcem.

— Będziemy razem saneczkowali — powiedział matce z triumfem.

— Byleby ci tylko nie uciekł — odparła leśniczyna. — Sądzę, że ojciec nie pozwoliłby na to — dodała z powątpiewaniem. — Ale idź! Nie możesz przecież tak ciągle siedzieć w domu. Może nic się nie stanie.

Jakoż nic się nie stało. Zarówno chłopiec jak i ryś powrócili do domu, jednakowo zziajani i zadowoleni. Okazało się, że Adaś, zjeżdżając z góry, puszczał wolno swego wychowanka, który ogromnemi susami pędził wślad za nim i zatrzymywał się dopiero u stóp wzgórza. Tarzali się potem obydwaj w śniegu i Put ani razu nie zdradził chęci haniebnego opuszczenia swego pana. W pewnej chwili tylko chłopiec zauważył, że ryś nastawia uszu i weszy czujnie, badając jednocześnie wzrokiem głębie okrytego śnieżnym płaszczem lasu. Potem, jakby w celu lepszego rozejrzenia się po okolicy wielki nakrapiany kot w mgnieniu oka wdrapał się na pień wysokiej, nawpół uschłej sosny, ale na wezwanie chłopca zeskoczył natychmiast i posłusznie poszedł z nim do domu.

Jeszcze całe sześć dni używał Put ze swym wychowawcą rozkoszy zimowego sportu i zawsze wracał tak samo wierny i zadowolony. Ale tak samo niezmiennie zatrzymywał się w zwykłem miejscu i węszył długo i wypatrywał, niepokojąc tem chłopca ogromnie.

— Kto wie, czy Lili nie kręci się gdzieś wpobliżu — oświadczył leśniczy, gdy Adaś zwierzył mu się ze swych trosk.

Miał słuszność zapewne stary, doświadczony znawca tajemnic kniei podkarpackich. Miał chyba słuszność. Dokładnie za tydzień od czasu owej pierwszej wycieczki, chłopiec przybiegł do domu cały zalany łzami, oznajmiając, że ryś zbiegł do lasu. Stało się to przy tym samym pniu uschłej sosny, który zawsze przykuwał uwagę Putka. Ryś i tym razem wdrapał się na drzewo, ale nie powrócił już na wołanie. Przeciwnie wspinał się coraz wyżej i wyżej. Wreszcie, niby olbrzymia wiewiórka, przeskoczył zgrabnie na inne, najbliższe drzewo, a w chwilę potem przeniósł się na dalsze jeszcze i zniknął w gąszczu gałęzi.

Adaś dobrą godzinę błądził po lesie, głośno nawołując, lecz bez wyniku. Nazajutrz leśniczy na usilne naleganie chłopca, spuścił z łańcucha Burka i udał się wraz z nim na poszukiwanie. Nic z tego. Zmyślny kundel wprawdzie naprowadził ich na jakieś podejrzane ślady, wgłębi lasu, daleko od owej sosny. Biały śnieg był tam stratowany dziwnie i leśniczy orzekł kategorycznie, że nie dalej jak wczoraj przebywały tutaj dwa rysie. Jednym z nich był napewno Put. Drugim mogła być Lili, lub jakaś inna obca zupełnie rysica. Toż luty miał się ku schyłkowi. Nocami świecił księżyc. Koty swojskie i dzikie zwoływały się już i łączyły w pary, aby razem słać wygodne gniazda w dziuplach drzew czy po strychach.

Wyjaśnienia ojca wcale nie ukoiły żalu chłopca i dziewczynki. Nawet Leśniczyna zresztą wzdychała potrosze. Wszyscy tak się przyzwyczaili do ciągłej obecności w domu dwojga wielkookich dropiatych kotów. Pusto jakoś bez nich było w samotnej, odciętej od świata leśniczówce.

Czas jednak zaciera wszystko. Przyszła wiosna, a wraz z nią różne nowe uciechy i przyjemności. Na polanach leśnych zakwitły bujne storczyki i dzikie lilje o wąskich złotawych kielichach. Adaś zrywał je dla matki, podpatrując jednocześnie życie lasu. A było na co patrzeć. Tu smyrgnęła z gałęzi na gałąź czarna wiewiórka podkarpacka, płaszcząc całe ciało

w przełocie. Tam dzięcioł niestrudzenie wykuwał ostrym dziobem dziurę w korze spróchniałego drzewa, aby dostać się do tłustych gąsienic czy poczwarek. Owdzie wreszcie szczygły, dzwońce i pliszki niespokojnym tłumem z gniewnem skrzeczeniem nacierały na sowę, którą wypatrzyły w głębi dziupli.

Nie. W lesie niemożna się było znudzić. Niezawsze jednak chłopiec miał swobodę. Raz lub dwa w tygodniu zdarzało się teraz, że leśniczy, zaprzęgnąwszy konia do wozu, udawał się z żoną do miasteczka, aby kupić coś potrzebnego lub sprzedać masło, jaja, czy drób. Adaś i Marysia w takich wypadkach zostawali na gospodarstwie sami i musieli pilnowć domu. Nie było to przyjemne, zwłaszcza, gdy wieczór zapadał, a wraz z nim nadchodziły obawy, że może nawiedzić leśniczówkę jakiś nocny złodziej-włóczęga.

Niebezpieczeństwo mogło zaskoczyć dzieci znienacka. Burek był już stary i napewno nie zwęszyłby zawczasu intruza. Rysie! O, te były czujne. Oba jednakowo dobrze chwytały wszelkie podejrzane szmery i oba jednakowo nie znosiły obcych. Adaś pamiętał dobrze, jak rzuciły się na żebraka, co kiedyś zawitał do leśniczówki. Ledwo zdołano oderwać je od niego. Żebrak umykał potem, aż się za nim kurzyło.

Te właśnie myśli przyszły dzieciom do głowy, kiedy pewnego razu zapadła ciemna noc, a rodzice nie wrócili jeszcze. Adaś namówił wreszcie siostrę, aby poszła spać, a sam wyszedł na drogę, gdzie długo słuchał czy nie rozlega się w oddali znajomy turkot kół.

Dał za wygraną wreszcie. Nic nie było słychać w lesie. W pewnej chwili tylko rozległ się szelest kroków i odgłos czyjegoś ostrożnego stąpania. Mogła to być sarna. W lesie znajdowało się ich mnóstwo. Żerowały nocami i podchodziły częstokroć pod parkan leśniczówki, może pamiętając, że w zimie sypano im niekiedy trochę owsa.

W nocy jednak nawet sarny można się zlęknąć. To też Adaś odmaszerował czemprędzej do domu. Tam, przy świetle lampy wiszącej w stołowym pokoju zawsze było zaciszniej i bezpieczniej. Zdziwiło go, że furtka była otwarta. Pamiętał dobrze, że zamknął ją wychodząc. Wszedł i poczuł naraz straszny lęk. Burek cicho skomlił w swej budzie, a w mroku nocy, rozjaśnionym nieco przez odblask lampy, mżący z uchylonych drzwi chaty, widać było niewyraźny zarys jakiegoś ogromnego zwierzęcia, które poruszało się z głową schyloną ku ziemi.

Dzik! Adaś uświadomił sobie to nagle. Ogromny dzik-samotnik zabłądził z boru do zagrody leśnej. Zwabił go zapewne zapach warzyw, rosnących w małym sadzie.

Chłopiec stanął na mgnienie jak wryty, w chwilę potem zaś rzucił się ku drzwiom. To podrażniło dzika, który pochrząkując groźnie pomknął za nim, aby dosięgnąć śmiałka, a byłby dopiął celu, lecz w tej chwili jakiś płowy cień mignął tuż przed otwartemi drzwiami leśniczówki. Rozległo się gniewne parsknięcie. Olbrzymi dropiaty kot wskoczył na grzbiet rozjuszonego dzika, chwytając go za kark ostremi kłami.

To wierny Put powrócił w sam czas, aby uratować życie swemu młodemu panu.

KONIEC

JANUSZ ORLIK

3)

MIŁOŚĆ NINY

Zdziwionym wzrokiem obrzuciła pokojowa panią z numeru dwunastego. Rozpakowała walizki paryskiej elegantce, a teraz dzwoni na nią skromna, trochę sztywna dziewczyna. W pokojach hotelowych dzieją się często różne cuda.

***

Nina od rana zabrała się energicznie do przerobienia swojej osoby. Teraz kiedy jako tako przywróciła sobie dawny wygląd stara się zapanować nad nerwami. Jerzy powinien wkrótce nadejść, nie będzie przecież czekał na godzinę obowiązującą w oficjalnych wizytach.

Ktoś puka. Przynieśli kwiaty. Drżącemi palcami rozwija bibułkę... Jaka szkoda, że to nie od niego, nie otwiera nawet koperty zaadresowanej nieznajomym charakterem pisma. Głowa ją trochę boli. Wrażenia ostatnich godzin były za silne... Nie trzeba się podddawać, Jerzy nie lubi rozpieszczonych kobiet.

Godziny mijają wolno. Dlaczego on nie nadchodzi?

Położy się na chwilę na małej kanapce i spróbuje zasnąć. A co będzie jeśli zaśnie naprawdę? On będzie stał za drzwiami i pukał, a potem odejdzie. Nie, nie, lepiej poprostu zatelefonuje. Powiedział jej przecież gdzie mieszka. Tuż obok jest telefon, zadzwoni do hotelu. Trzeba znaleźć numer w katalogu. Dziwnie jakoś plączą się litery... ale jest nareszcie. Niezgrabnie przekreca kółko automatu, małe cyfry skaczą przed oczami. — Hallo, portjer? Czy jest pan Stryjski? Tak inżynier. Wyjechał! Kiedy? Wczoraj w nocy!? — Bezwładnie opada ręka ze słuchawką. Po śmiertelnie bladej twarzy płyną wąziutkie sznureczki łez.

***

Cicho skrzypią sanki na śniegu. Dzwoneczki monotonnie brzęczą. Wśród zapadającego mroku bieleją ciężkie okiście na gałęziach przydrożnych drzew. Już widać światła w leśniczówce. W oknie gościnnego pokoju płonie niepotrzebna lampa. — Zgasić tę lampę!

Stroskanym wzrokiem obrzuca inżyniera stara gospodyni — Zaraz podam kolację — Nie trzeba, dziękuję nie jestem głodny.

— Może zapalić na kominku w gabinecie, pan przemarzł?

— Nie trzeba, proszę odejść, nie jesteście mi potrzebni.

— A pan Giżycki mówił...

— Jutro go zobaczę.

W głąb ciemnego korytarza odchodzi zmartwiona służąca.

Stryjski zmienia pośpiesznie futro podróżne na myśliwską kurtkę, zdejmuje ze ściany dubeltówkę, do kieszeni wsuwa ostrożnie rewolwer.

Skrzypią cicho otwierane drzwi. Srebrna poświata miesiąca zalewa leśną polanę. Zaskomlała boleśnie, brutalnie kopnięta wyżlica Nora, wierna

towarzyszka polowań... Odpowiedziało jej żałosne wycie podwórzowego brytana.

Pod nogami Stryjskiego układają się coraz głębsze ślady stóp. Uroczystą ciszą wita las swego przyjaciela, może po raz ostatni...

Śnieg ciągle pada...

**
*

Po długich godzinach niepamięci Nina otworzyła wreszcie oczy. Spojrzenie jej zawisło niespokojnie na zdziwionej twarzy pokojowej.

— Co się stało?

— Nie wiem proszę pani. Już od godziny pukam do pokoju, ale pani spała, myślałam, że może pani zasłabła i zajrzałam. Było kilka telefonów z klubu artystycznego, jakiś pan się dopytywał...

— To już wieczór?

— Piąta godzina Pani może głodna?

— Tak, poproszę o jakieś kanapki i herbatę. A potem panienka mi pomoże zapakować rzeczy wyjeżdżam.

Służąca odeszła. Jestem sama. Za chwilę przyniosę herbatę, trzeba coś postanowić. Jechać... dokąd właściwie jechać, do Paryża? Nie, za nic. Dokoła jest tak pusto, tak obco. Pojadę do niego... to zupełnie proste, nic innego już nie pozostaje.

Jerzy, żebyś ty wiedział jak mi strasznie i ciężko! Nie mam do ciebie żalu, coś ty winien, że cię tak kocham?...

**
*

Jakieś światełka migają na stacjach, już coraz bliżej... Dnieje. Niczego mi nie żal i niczego nie pragnę prócz spokoju, jestem ogromnie zmęczona.

Jadę teraz sankami, nie pamiętam nawet kiedy wysiadłam z wagonu. Muszę źle wyglądać, ktoś się pytał po drodze czy nie jestem chora, wszystko jedno.

Jak tu cicho i dobrze. To twój las, taki biały w śniegu. Boję się. Co ty powiesz na mój widok? Pozwolisz mi przecież odpocząć, będziesz dobry...

**
*

Twój dom. Stara służąca dziwnie jakoś na mnie patrzy.

— Czy pani jest siostrą pana inżyniera?

— Nie.

Zaschło mi w gardle, nie mogę złapać oddechu.

— Kiedy pan wraca?

— Nie wiem proszę pani, czasem dopiero wieczorem.

Dopiero wieczorem, a teraz 8 rano...

— Proszę mnie zostawić, ja zaczekam.

**
*

Twój pokój... Może naprawdę jestem chora, może to tylko złudzenie?... Jaka miła ta kanapka pod oknem. Położę się muszę zasnąć, już dłużej myśleć nie mogę. Jeżeli przyjdziesz i będziesz się gniewał... Nie gniewaj się, odejdę, a może nie obudzę się więcej, tak mi zimno...

**
*

Stryjski mozolnie wyciągał nogi z zasp śnieżnych. Śnieg przestał sypać i brał silny mróz. Więc postanowił skończyć?... Nic go nie wiązało z życiem. Rok wcześniej, rok później. Poco właściwie miał żyć, dla kogo? Kultura lasu, polowanie... Ustąpi miejsca komu innemu. Kolega Dzieżbicki obejmie zapewne jego stanowisko. Poczciwy chłop ten Dzieżbicki — a jakie ma miłe dzieciaki — zaludnią się Smereki. Ha! trudno z sumieniem jest w porządku, starał się zawsze być porządnym człowiekiem, a jednak nie umiał zapracować na szczęście.

Nina... jak to było z Niną? To już chyba dawno? Kochała go, ale on był przecież za stary, nie umiał się zdobyć na małżeństwo, nie wierzył... Potem on kochał, ale ona się zmieniła. Różnie bywa... Czy odmłodniał? Nie, zestarzał się jeszcze, tylko miał przez chwilę złudzenie, że jej miłość jest silniejsza ponad wszystko, że niema prawa łamać życia, które zdawało się należeć do niego. Omylił się. Jest zupełnie spokojny, nie wszyscy ludzie mogą być szczęśliwi.

Pod tem drzewem, tak tu będzie najlepiej. Przeżegna się jeszcze, był zawsze dobrym katolikiem i...

— Stać! Kto idzie?

Z poza sąsiedniego pnia wychyla się postać starego leśnika Małeckiego.

— Wszelki duch Pana Boga chwali, pan nadleśniczy?

Stryjski błyskawicznym ruchem chowa rewolwer.

— Małecki o tej porze w lesie?

— A no starość nie radość proszę pana inżyniera. Spać nie mogę to obchodzę rewir. Włóczy się tu pełno łajdaków, tom se pomyślał, że takiego ptaszka przyłapać nie wielka sztuka, spróbowałem. Ale pan inżynier sam po nocy chodzi, niebezpiecznie. Mnie staremu to tam już niewiele się należy...

— Daleko stąd do waszej leśniczówki?

— Będzie ze dwie wiorsty.

— Prowadźcie, u was zanocuję.

**
*

Małe, drewniane saneczki mkną szybko po śniegu. Stary Małecki zacina drobnego konika i zagaduje od czasu do czasu, że zima ciężka, że szkody w lesie znaczne, że często gęsto zaświecą o zmroku wilcze latarnie. Stryjki słucha i patrzy bezmyślnie przed siebie. Znowu dzień, poco?...

Zajeżdżają pod bramę. Coś trzeba powiedzieć Małeckiemu, o coś jeszcze zapytać. Nora przybiegła z radosnem skamleniem i łasi się u nóg pokornie.

Chodź piesku, jesteśmy zawsze sami. Wyżlica merda radośnie ogonem i begnie naprzód. Stryjski zmierza do gabinetu, musi przejrzeć dzisiejszą pocztę. Popycha drzwi i nagle staje jak wryty... Nina!...

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

— Pani przyjechała rano i powiedziała, że poczeka.

— Dobrze, proszę odejść.

Mijają długie jak wieczność kwadranse. Patrzy na jej bladą, zmęczoną twarz i stara się wyczytać z niej historję ostatnich lat. Tak dziwnie swojo wygląda Nina na tej kanapce w jego pokoju. Musi być bardzo zmęczona, może chora?... Kto wie ile kosztował ją ten przyjazd? Stryjski odczuwa przez chwilę ciepły niepokój, jak to przyjemnie mieć się o kogo zatroszczyć... Dobrym, prawie tkliwym wzrokiem obejmuje jej postać. Śpi spokojnie, przyjechała do niego na zawsze... Wrócił z lasu, mógł przecież nie wrócić... Bóg jest dobry...

KONIEC.

KĄCIK ROZRYWKOWY

Pod kierownictwem Warsz. Klubu Szaradzistów.

Z OKAZJI ŚWIĄT WIELKANOCNYCH PRZESYŁAMY WSZYSTKIM PRZYJACIOŁOM I ZWOLENNIKOM NASZEGO „KĄCIKA ROZRYWKOWEGO" SERDECZNE ŻYCZENIA „WESOŁEGO ALLELUJA!"

ZAKOŃCZENIE I KONKURSU KWARTALNEGO

(Warunki podano w n-rze styczniowym. Rozwiązania nadsyłać można z całego konkursu w terminie 3-tygodniowym od daty otrzymania numeru).

9. LOGOGRYF WIELKANOCNY

(5 punktów)

Zbliżają się święta, dni wielkiej radości...
Lecz na *trzeciej* jakoś dziwnie łzawo, smutno, —
Płyną w niej jak *szóste*, potoki żałości—
Albowiem u wszystkich w kieszeni jest... płótno.

Pierwsze już to było *drugie* w dni świąteczne
Każdy miał *szesnastą* jasną, uśmiechniętą,
Nie znał co *dwunasta*, co to troski wieczne,
Nie nazywał *ósmą* dolę aż — przeklętą...

Cóż, — gdy los drwi sobie i biczem nas trzaska...
To też dziś *dziesiąta* trwa o byt mizerny.
Wielkanocna babka, szyneczka, kiełbaska,
Nie wszystkim dostępna!... bo choć jak pies wierny
Służyć będziesz panu na *czternastych* łapach —
Nieoceni pracy, bo sam nie zna braku,
Wyciśnie sok z ciebie, aż poleci zapach.
A jak wynagrodzi — z głodu mrzesz biedaku!...
Czwarte pokolenia słusznie narzekają,
Że żyją w okresie *piętnastych* niedoli,
Ży życia radości i piękna nie znają, —
To też im *trzynaście*, tem więcej ich boli!

A że *Jedenasty* ma swe nerwy mocne,
Niech więc go *dziewiąta* w lepszą przyszłość zbroi,
Niechaj w *piątej* Polsce święto Wielkanocne —
Choć bez wina, ciasta, — wszystkich nas ukoi.

Gdy *Siódmy* pieśń zagra radosną, wesołą, —
My śpiewać też będziem, choć w kieszeni... goło!

(Litery środkowe odnalezionych wyrazów pięcioliterowych, czytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie. Dla ułatwienia podajemy sylaby wyrazów logogryfu: bie, ca, da, da, daw, de, du, dwuch, du, gan, ją, jen, ka, ki, kie, lak, lej, mło, no, or, po, ra, rze, swo, szy, twarz, wal, wia, wo).

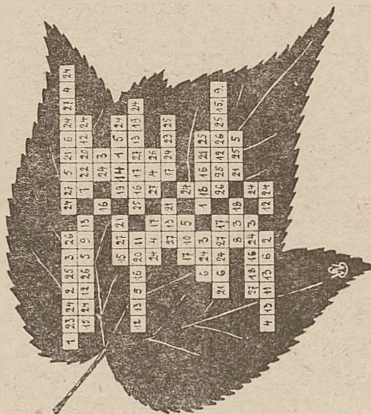
L. Siesielski, czł. Kl. Sz.

10. ARYTMOGRAF (5 punktów)

Posługując się niżej podanymi wyrazami pomocniczymi, odczytać należy podany arytmograf z uwzględnieniem kratek czarnych, w których litery z góry na dół czytane, dadzą nazwisko pisarza polskiego, każdy rząd poziomy natomiast tytuły jego utworów powieściowych i scenicznych. (W rzędzie 10-tym podany tytuł składa się z trzech wyrazów, z których dwa ostatnie brzmią w krócie z podaniem tylko pierwszej litery).

Wyrazy pomocnicze:

1 — 27 — 24 — 6 — 24 — 17 — 18 27 — 8 = autor piszący dramaty;
15 — 25 — 27 — 16 — 19 — 24 — 21 — 23 — 24 = przekonywanie, przekładanie komu czego;
2 — 14 — 11 = uczucie cierpienia fizycznego;
5 — 9 — 13 — 27 — 7 — 22 — 20 = noszący chorągiew przed wojskiem;
2 — 3 — 10 — 4 — 26 — 17 = firmament.



E. Wieliczko, czł. Kl. Sz.

11. REBUS (5 punktów)

Odgadnąć znaczenie podanego rebusa kołowego. Dla ułatwienia podajemy, że treścią rebusa jest zdanie złożone z 10 słów, których pierwsze litery są następujące:

S— — — — s — k — — — — — — —
r — — — — — — — — w m — — — —,
p — — — — — — — — — ś — — —
z — — — — — — — — — c — — — —.



Czesława Kaczyńska, Krzemieniec (Wołyń).

SKRZYNKA POCZTOWA

WPP.: Jan Stolarski, nadl. Pułtusk. Wład. Chojnacki, Czeremcha, nadl. Złota Wieś. Termin 3-tygodniowy nadsyłania rozwiązań rozumie się od dnia otrzymania numeru, co zresztą odtąd zaznaczać będziemy w każdym numerze. Przy podawaniu rozwiązań zbytecznem jest przepisywanie całej treści szarady czy logogryfu; wystarczy podać samo rozwiązanie.

Klub Szaradzistów podaje interesowanym do wiadomości, że z ważnością od 1 marca 1932 r. adres Klubu zmieniony został na: „Sekretarjat Klubu Szaradzistów, Warszawa, ul. Kopernika 42 m. 13".

Przy tej sposobności polecamy zwolennikom rozrywek umysłowych interesującą, pięknie wydaną broszurę p. t. „X-lecie Klubu Szaradzistów", na której treść składa się krótka historja Klubu i rozwoju rozrywek umysłowych, cenne wskazówki układania szarad, rebusów i innych zadań z podaniem ilustr. wzorków, serję zadań do rozwiązania z pięknymi nagrodami (których termin nadsyłania rozwiązań przedłużono do 15 kwietnia 1932 r.) wreszcie krótki wyciąg ze statutu Klubu. Nabywać można po cenie (własnych kosztów) zł. 3, za pośrednictwem naszej Redakcji, lub wprost w Klubie.

M. Sł.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ

III konkursu kwartalnego 1931.

1. MOZAIKA

Brzoza płacząca. (Wyrazy: kobra. Warta, buzia, wrona, wizja, szata, kopja, pałka, zwada, racja, fuzja, trąba, tęcza, krasa).

2. REBUS

Dowody idą do wody.

„dali mu radę", inni zaś więcej dowcipnie, niż prawidłowo go rozwiązali, jak np.: „Trzy kartoteki idą do rzeki", — „Trzej goli tureccy" — i t. p.

3. ARYTMOGRAF

Drzewa leśne. (Wyrazy: modrzew, brzoza, wiąz, świerk, jawór, grab, klon, jesion, sośniak, pinja, cedr).

4. SZARADA

Dalej do lasu na jagody.

5. MINIATURKA

Maskarada.

6. ARYTMOGRYF

„Echa Leśne", to prawdziwa uczta duchowa dla czytelników. (Wyrazy: ale, wu, dc, oko, ach, heca, sowa, cudzy, kowal, urok, chce, dźwig, dla, Wicuś, aromat, Nansen, te, czytelników, pe, zasuwa, krawat, Czesław, Opoczno, upał, snop, Agata, major, waga, kosa, iwa, zew, za od).

7. SZARADA MYŚLIWSKA

Szarak.

8. LOGOGRYF

Lube rozrywki umysłowe ćwiczą nam pamięć, kształcą głowę. (Wyrazy: luz, nucąc, kabinki, czeladź, tremo, orp, szlak, skromny, Krynica, dźwięki, kuć, wieki, Szujski, samczyk, syrta, sta, kłuły, opończa, drwiąco, obełgać, Łuć (wspak), gawrony, śpiewka, kocięta).

Ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosi: 27. Listę uczestników konkursu i wynik losowania podamy w numerze kwietniowym.

Rebus ten dobrze pomyślany, nie należy do trudnych, a jednak nie wszyscy

Redaktor: LEONARD CHOCIŁOWSKI   Wydawca: ZWIĄZEK ZAWODOWY LEŚNIKÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

WARUNKI PRENUMERATY

„ECH LEŚNYCH"

	Zwyczajnej zł. gr.	Ulgowej (dla czł. Z. Z. L. zł. gr.
Kwartalnie .	4.—	3.—
Półrocznie .	7.50	5.50
Rocznie . . .	14.—	10.50
Zagranicą kwartalnie	6.50	5.50

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 1z.40gr.

KONTO CZEKOWE w P.K.O. Nr. 5.755.

Cena niniejszego numeru w Warszawie i na prowincji 1 zł 40 gr.
Żądać we wszystkich kioskach miejskich i kolejowych T-wa „Ruch".

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 36, TEL. 230-75.

2193 Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Ordynacka 3, tel. 644-59.